

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout — PARIS (IX^e)

20 JUILLET
LIPIEC 1958

Nr. 29 (43) ★ PRIX
CENA 30 fr.

Tygodnik Polski



F.P. 2378



W Gdańsku nakręca się nowy polski film, którego akcja osnuta jest na tle bohaterskiej obrony poczty gdańskiej w 1939 roku.



Najładniejsze kobiety Europy przyjechały do Paryża. Po środku tegoroczna miss Europy, Austriaczka Hanni Ehrenstrasser, po lewej miss Szwecji, po prawej miss Holandii.



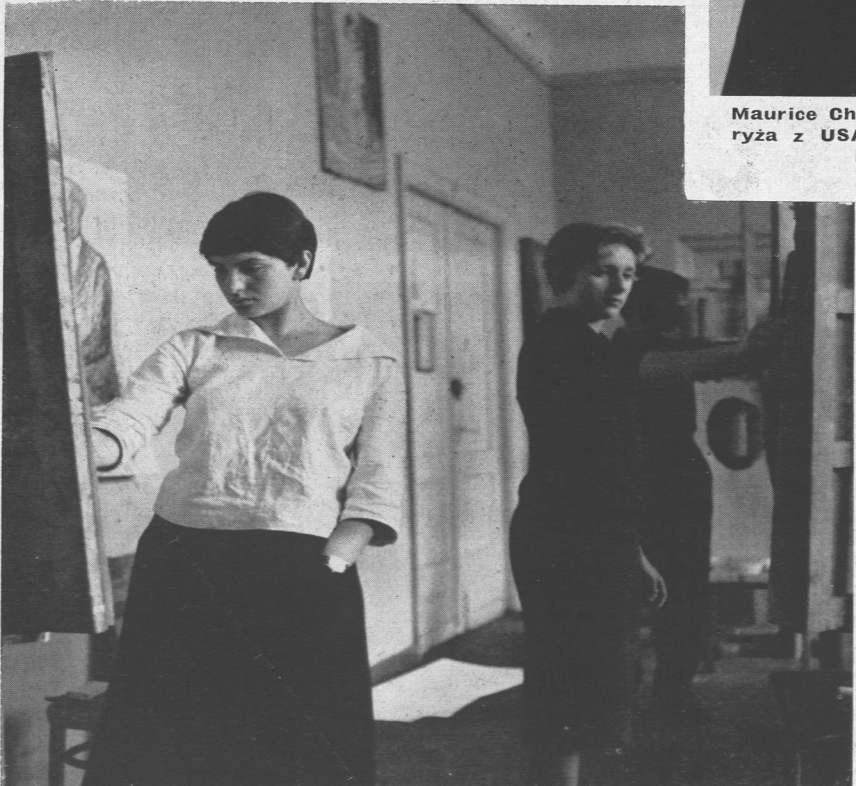
Maurice Chevalier powrócił do Paryża z USA, gdzie nakręcał swój nowy film.



160 tysięcy harcerzy pojechało na obozy letnie w najróżniejsze części kraju. 800 harcerzy spędzi wakacje w Czechosłowacji, Jugosławii, Francji, Niemczech i Bułgarii.



Przy ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie stoi Hotel „Warszawa”, mieszczący się w odbudowanym przedwojennym „drapaczu chmur”. Tu m. in. mieszkają zagraniczni turyści odwiedzający stolicę Polski.



Do egzaminu konkursowego na Akademię Sztuk Plastycznych w Warszawie stawilo się dziesięć razy więcej kandydatów niż było miejsc.



Osiółki w warszawskim Ogrodzie Zoologicznym mają ogromne powodzenie. Taka przejażdżka należy do największych przyjemności dla najmłodszych warszawiaków.

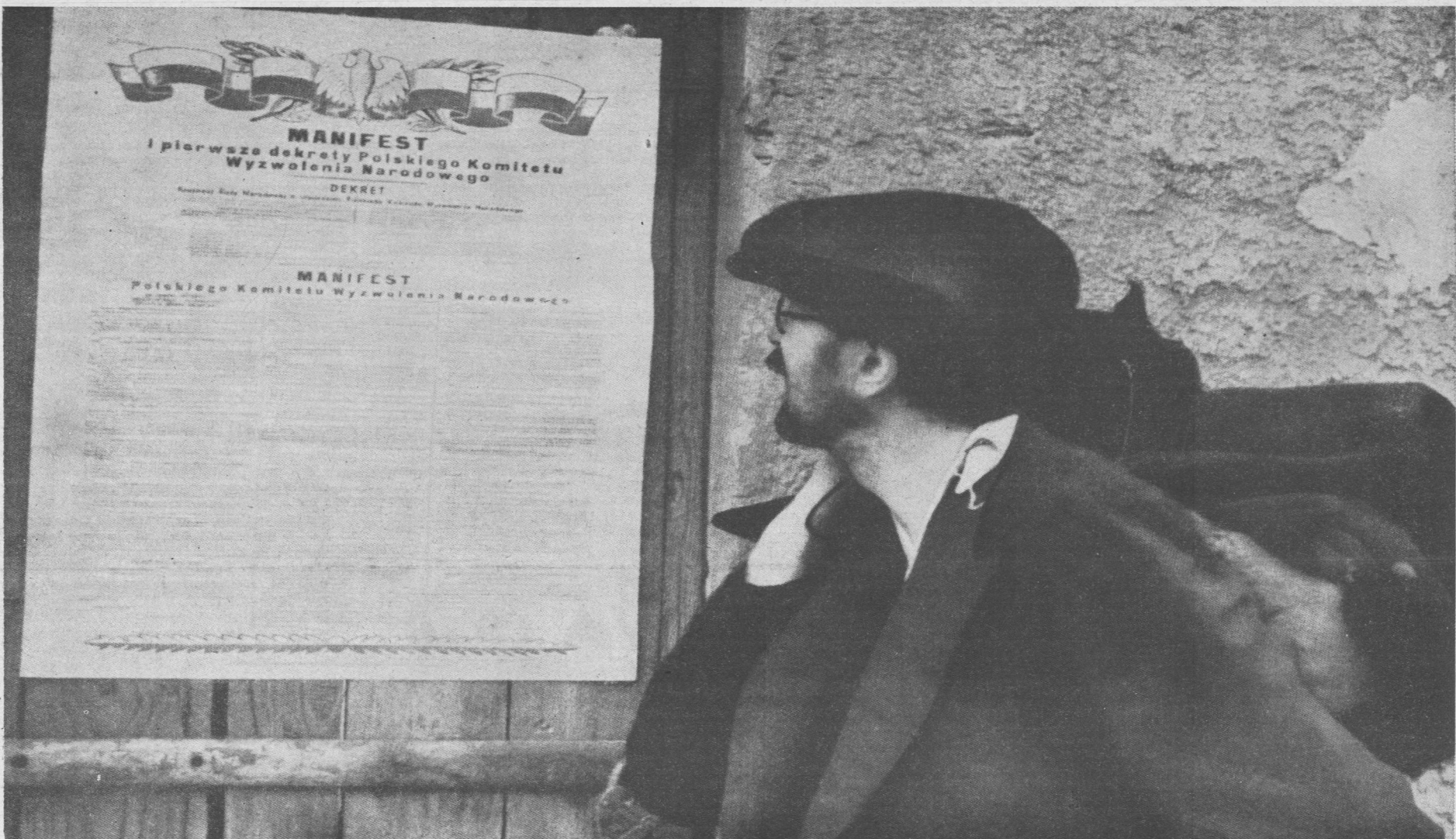


NASZA OKŁADKA

22 lipca — w dniu Święta Narodowego — cała Polska przybiera odświętny wygląd. Na publicznych placach, w parkach i ogrodach odbywają się zabawy ludowe. Na naszym zdjęciu: spotkanie w kawiarni na Marszałkowskiej w Warszawie.

W NUMERZE:

1944-1958 — wymowa cyfr i faktów	Str. 4
Jerzy PUTRAMENT: Trzy powroty	Str. 5
Jerzy POMIANOWSKI: Teatr polskiej odnowy	Str. 8
Niech żyje plaża! — fotoreportaż z kolonii letnich dla dzieci	Str. 9
Artur MIĘDZYRZECKI: Wieczór u Fukiera	Str. 12
Humor	Str. 20



22 lipca 1944 roku ogłoszony został Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, proklamujący ustanowienie władzy ludowej w Polsce. Oto historyczne zdjęcie: na wyzwolonych terenach Rzeczypospolitej, w rejonie Lublina, w dniach lipcowych przed 14 laty, ludność zaznajamia się z treścią Manifestu, PKWN.

MOŻNA być oczywiście zadowolonym z zasobów naturalnych swego kraju. Z węgla, żelaza, spławnych rzek i uprawnych pól, z wszystkiego o czym uczą się dzieci w szkołach zanim przyjdzie im poznać smak dorosłego życia, godziny nadziei, czas goręczy, chwile zadośćuczynień.

Ale dumnym można być przede wszystkim z ludzi swego kraju. Ojczyzna to przede wszystkim ludzie, tacy jakimi uczyniła ich historia i jakimi są, ufni lub pełni obaw, rozsądni lub nieroztropni, pracowici i dowcipni lub ociężali i nierychliwi w decyzjach, lecz nieodmiennie przecież — swoi, najbliżsi, niezapomnieni w sercu i pamięci.

Święto lipcowe jest więc przede wszystkim ich świętem, świętem ludzi, świętem weteranów z pól bitewnych nad Wisłą, Mozlą, Oką i Tybrem, świętem, które jednoczy w sobie wspomnienie o żołnierzach poległych na wszystkich frontach ostatniej wojny i obowiązków, jakie stały się udziałem żyjących, tych którzy pracują w kopalniach śląska, na rusztowaniach Warszawy i

Jedność serc

w halach Nowej Huty, tych, którzy trudząc się w niełatwych ciągle warunkach sławią przeciw imię Polski, zapewniają jej ciągłość istnienia, czynią jej zaszczyt swą postawą, dzielnością i inteligencją. Nie, nic nie było i nie jest łatwe w dolinie Wisły, nic tam samo z siebie nie przychodzi, nic nie zdarza się z niepokonanej łaskawości natury i okoliczności. Niedarmo polski poeta współczesny napisał niegdyś znaną strofę:

*Nie głaskało mnie życie po głowie,
Nie piąłem ptasiego mleka
No i dobrze, no i na zdrowie:
Tak wyrasta się na człowieka.*

Tak wyrasta się na człowieka, tak poznaje się twardą szkołę miłości ojczyzny. Że brzmi to staromodnie? Być może. Ale ani jeden z problemów Warszawy, liczącej dziś ponad milion mieszkańców, nie należy do

spraw zamierzchłych. Nawet w najbardziej tradycyjnych dzielnicach historycznych, pomiędzy dwuszeregami odbudowanych, zabytkowych kamieniczek, toczą się dzisiaj dzieje nowe, należące bardziej niż kiedykolwiek do historii tego burzliwego stulecia, w którym próby godności i charakteru przechodzić trzeba codzienność, w wielkiej pracy, gdzie najbardziej nawet uogólnione pojęcia sąsiadują z najbardziej powszednimi czynami, a ideały z trudną rzeczywistością; gdzie romantyczna odwaga sprzymierza się musi zawsze z poczuciem zdrowego rozsądku, w imię narodowej i społecznej służby; gdzie wreszcie święto budownictwa, święto lipcowe, staje się gospodarskim rachunkiem zysku i strat, obywatelskim przeglądem osiągnięć, możliwości i sukcesów.

Jest 22 lipca świętem wszystkich

Polaków, i tych w kraju i tych rozsiąanych po świecie.

Wychodźstwo polskie we Francji, które tak wiele już razy przyświadczyło owym uczuciom, zarówno przed laty — gdy formowała się na ziemi francuskiej Dywizja Grenadierów, gdy rozpoczynała się epopea Resistance — jak i dzisiaj myśli emigracji biegają ku nowym dzieciom rodzinnego kraju. Tej więzi z krajem nie mogą osłabić usiłowania różnych „polityków”. Bo czyż jest coś silniejszego nad miłość ojczyzny?

22-gi lipca jest więc jednym z tych dni uroczystych, kiedy ku zmartwychwstałej Warszawie spoglądają przyjaciele ze wszystkich stron świata, życząc jej pomyślności. Na zrekonstruowanym starym rynku gromadzą się tłumy, po południu zaludniają się bulwary nad Wisłą, w lipcowym słońcu błyska miecz i tarcza kamiennej syreny.

Gdyby przyszło nadawać nazwę tej letniej godzinie, najśluszniej zapewne byłoby ją nazwać godziną jedności serc.

A. M.

PŁACE • CENY RÓWNOWAGA RYNKOWA

„A więc stabilizacja?” — pod tym tytułem ukazał się niedawno w *Zyciu Warszawy* artykuł, rozpoczynający się następująco:

„Gospodyni domowa odkrywa treść tego obojętnego słowa w codziennych zakupach żywnościowych, amator motoryzacji w zarządzeniu, znoszącym liczne ograniczenia przy zakupie samochodów... Prawda, że ekspedient sklepowi nie wybiegają jeszcze na ulicę, by zachęcić do kupna pralki,

lodówki czy motocykla; że nieraz jeszcze przyjdzie zakląć, nie znalazłszy tego, czego się poszukuje. Ale...”

Ale sytuacja na rynku wewnętrznym wyraźnie się w kraju zmieniła. Zmiana ta niejednemu zaskoczyła. Przecież jeszcze w połowie roku ubiegłego groźba inflacji była w Polsce czymś zupełnie realnym, a rząd gorączkowo zalepał szpary powstające między rosnącą siłą nabywczą ludności, a podażą towarów. Obecnie zaś kupcy skarżą się, że choć obroty handlu rosną, to jednak, towarów na półkach przybywa, ponieważ podaż wyższa jest od popytu.

Zdania są rozmaite

Różnie tłumaczone są przyczyny tego zjawiska. Niektórzy ekonomiści twierdzą, że jest to wynik polityki deflacyjnej prowadzonej przez państwo. Inni odpowiadają: to prawda, iż rząd zastosował skuteczne środki dla wzmocnienia dyscypliny finansowej, ale przecież płace wzrosły dość poważnie, a ruch cen został w dużym stopniu przyhamowany, jakże więc można kłaść wszystko na karb deflacji. I dodają: wyjaśnić należy szukać przede wszystkim we wzroście produkcji przemysłowej, rolniczej i związanym z tym zwiększonym napływem towarów na rynek.

Osobiście, przychyliam się raczej do tego drugiego zdania. Zresztą, najlepiej niech mówią fakty.

Pokażny wzrost produkcji

W pierwszym kwartale br. produkcja przemysłowa w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku wzrosła o 11,3 procent. Przewiduje się, że całoroczny wzrost produkcji wyniesie około 10 procent.

Dla naszych rozważań istotny jest przy tym fakt, iż szczególnie szybko wzrasta produkcja artykułów konsumpcyjnych. Jednocześnie ponad wszelkie spodziewania

zwiększyły się dostawy artykułów rolniczych ze wsi. I tak na przykład w pierwszym kwartale skupiono o 40 proc. więcej żywyca i o 33,5 proc. więcej mleka niż w roku poprzednim. Jeśli zaś porównać czerwiec roku 1957 i 1958, to w miesiącu tym żywyca skupiono przeszło 25.000 ton więcej, mleka około 100.000.000 litrów więcej, jaj o 20.000.000 sztuk więcej itd.

Handel ma zapasy

Te wyniki produkcyjne nie mogły nie odbić się korzystnie na zaopatrzeniu handlu. W roku 1957 obserwowaliśmy z niepokojem zjawisko stałego kurczenia się zapasów. Obecnie tendencja jest odwrotna. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy zapasy w handlu wzrosły o blisko 10 miliardów złotych i to przy równoczesnym wykonywaniu zwiększonego (w stosunku do ubiegłego roku) planu obrotów. Fakt ten wywiera niewątpliwie decydujący wpływ na równowagę rynkową. Co więcej — nastąpił także wyraźny wzrost zapasów surowców w przemyśle, a tym samym może on pracować bardziej harmonijnie.

Cudów nie ma

Oczywiście, sytuacja nie jest zupełnie różowa. Cudów przecież nie ma. Poprawa zaopatrzenia rynku i wzrost zapasów w handlu opiera się przede wszystkim na zwiększonym dopływie artykułów żywnościowych.

Pomogły więc dobre zbiory zeszłoroczne i nowa polityka rolna prowadzona przez rząd. Z artykułami przemysłowymi jest nieco gorzej, zwłaszcza z tkaninami i obuwiem. Problem to dość trudny. Zdolności produkcyjne tych przemysłów wykorzystane są obecnie do maksimum, a mimo to nie pokrywają one potrzeb rynku. Rozwiązanie mogą przynieść jedynie nowe inwestycje, ale to wymaga czasu i pieniędzy.

Podobna sytuacja jest zresztą w przemyśle spożywcym. Nie jest on po prostu w stanie przerobić całej masy surowca dostarczanego przez wieś. Stąd też, choć rozpoczął się obecnie sezon urlopów i wycieczek, trudno czasami dostać w sklepach konserwy mięsne.

W sumie jednak, nawet najwięksi maltcontenci nie mogą obecnie na zaopatrzenie rynku narzekać.

Powstaje natomiast inne pytanie: jak kształtują się w tych warunkach płace i ceny?

Wiadomo, że w roku 1957 wzrost płac następował bardzo szybko (średni wzrost roczny około 22 procent), został on jednak częściowo pochłonięty przez wzrost cen. Statystycy, badając obie tendencje obliczają, iż łącznie w latach 1956 i 1957 realne płace osób zatrudnionych w gospodarce społecznej wzrosły o około 18 procent.

A jak z cenami?

W tym roku wzrost cen został dość mocno przyhamowany. Jest to zrozumiałe. Najważniejszą rzeczą jest bowiem obecnie wzmocnienie równowagi rynkowej i utrzymanie realnej wartości plac. Czy to się udaje?

Nie mam wprawdzie dokładnych danych dotyczących ruchu cen, jak wynika jednak ze wstępnych obliczeń statystycznych, w ciągu pierwszych pięciu miesięcy br. wzrosły one o około 1,5 proc. W tym samym okresie średnia płaca w przemyśle zwiększyła się o 4,2 proc.

Dla gospodarki narodowej istotne znaczenie ma jednak fakt, iż szybciej niż płace wzrasta obecnie wydajność pracy. W roku ubiegłym było zaś odwrotnie.

Znamienne zjawisko

Mówiąc o sytuacji rynkowej warto jak myślę zwrócić uwagę na jeszcze jedno znamienne zjawisko. W pierwszym kwartale br. produkcja takich artykułów, jak: motocykle wzrosła o 45 procent, lodówki — 5-krotnie, telewizory — 2,5-krotnie, pralki — blisko o 50 procent, a towarów tych w sklepach stale brak. Jest to na pewno też jakiś wskaźnik aktualnej sytuacji materialnej dość szerokich warstw ludności.

Jak więc ostatecznie przedstawia się odpowiedź na pytanie zadane przez „*Zycie Warszawy*”, czy można już w Polsce mówić o stabilizacji gospodarczej? Może nie jest to jeszcze stabilizacja pełna, zwłaszcza, iż kraj ma nadal duże trudności w bilansie płatniczym z zagranicą. W każdym razie jedno jest pewne: sytuacja już teraz jest pomyślniejsza, a wszystko wskazuje iż zmierza ona nadal kulepszeniu.

J. TORONCZYK

W rocznicę GRUNWALDU

15 LIPCA 1410 roku na polach grunwaldzkich rozegrała się słynna bitwa, w której pod wodzą króla Władysława Jagiełły wojska polskie z pomocą wojsk ruskich i litewskich pokonały ostatecznie Krzyżaków. Za dwa lata więc, w 1960 roku, będziemy obchodzili 550-lecie tego wielkiego faktu historycznego. Uroczystość ta będzie jednym z pierwszych obchodów związanych z Tysiącleciem Państwa Polskiego.

Nie dlatego jednak naród polski będzie ją obchodził szczególnie powszechnie i pięknie. Bitwa pod Grunwaldem jest chyba najbardziej popularną, najpowszechniej znaną bitwą spośród wszystkich bitew stoczonych na ziemiach polskich i o ziemię polskie. Przyczyniło się do tego z pewnością wielkie dzieło Henryka Sienkiewicza: „*Krzyżacy*”, które zawiera wspaniały opis tej bitwy, a także — nie mniej znane i bardzo przez Polaków lubiane dzieło Jana Matejki, słynny obraz „*Bitwa pod Grunwaldem*”. Można śmiało powiedzieć, że na podstawie tych dwóch dzieł urobiliśmy sobie wyobrażenie o bohaterach bitwy i jej przebiegu.

Uroczystości 550-ej rocznicy bitwy pod Grunwaldem może być jednak w pełni uczczona tylko wtedy, jeśli będzie ona najściślej związana z naszym życiem dzisiejszym. Tylko wtedy bowiem — po pięciu wiekach — spełni się wreszcie jej nie wykorzystane wówczas znaczenie. Takie zadania też postawiły sobie: Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodowej i Komitet Przygotowawczy Obchodu Tysiąclecia Państwa Polskiego, które są także organizatorami uroczystości grunwaldzkich.

W Radzie Państwa w Warszawie odbyto się wspólne posiedzenie obu komitetów, z udziałem przedstawicieli rządu, świata nauki, a także z udziałem przedstawicieli województwa olsztyńskiego, gdyż na ziemi olsztyńskiej znajdują się pola grunwaldzkiej bitwy.

Ustalono, że dla uczczenia 550-ej rocznicy „*Grunwaldu*” zostanie ufundowany pomnik, który stanie na polu bitwy. To dla uczczenia przeszłości. Na pożytek zaś ludziom, którzy mieszkają tam dzisiaj, na pożytek ziemi, która jest częścią współczesnej Polski — zostanie podjęta wielka akcja zagospodarowania tych terenów.

Najważniejszym jednak momentem, który z pewnością przyczyni się do masowego obchodu rocznicy grunwaldzkiej będzie bezpośredni udział narodu w realizowaniu tych planów. Budowa pomnika bowiem i zagospodarowanie terenów grunwaldzkich ma być dokonane z funduszy uzyskanych ze sprzedaży „*cegiełek grunwaldzkich*”, z kwoty ulicznej w dniach 20-22 lipca. W związku z tym instytucje organizujące obchody grunwaldzkie wydały odezwę do narodu. Ziemia grunwaldzka — pole sławnej bitwy, czeka na ofiarność swego narodu.

1944 WYMOWA 1958 CYFR I FAKTÓW

PRZYPOMNIJMY, że jeszcze w 1945 roku było w Polsce całkowicie zniszczonych 19.592 zakładów przemysłowych. Zrujnowanych było 295.400 nieruchomości miejskich (bez budynków komunikacyjnych i wojskowych) i 466.900 zagród wiejskich. Legło w gruzach 50.000 mostów stalowych i betonowych i 54.700 mostów drewnianych. W samej Warszawie zniszczeniu uległo 74 miliony metrów sześciennych zabudowy.

Dodajmy, że Polska już od około trzech stuleci pozostawała w tyle za krajami Europy, a swój kapitalistyczny przemysł budowała z wiekowym opóźnieniem.

Uspołecznienie kluczowych środków produkcji, nowy postępowy ustrój społeczny — to był konieczny warunek, który umożliwił nadrobienie wiekowych założeń w dziedzinie rozwoju gospodarki i dalszą rozbudowę gospodarki.

Wprawdzie w niektórych dziedzinach wyposażenie techniczne zakładów zostaje jeszcze w tyle za osiągnięciami nauki i techniki światowej, nie umniejsza to jednak znaczenia faktu, że Polska produkuje dziś 5 milionów 304 tysiące ton stali, że wydobywa 100 milionów 100 tysięcy ton węgla (w tym brunatnego 6 milionów ton).

W roku ubiegłym było już 29.800 zakładów przemysłowych i oddano do użytku 79.153 budynków nowowbudowanych. Co roku zwiększa się ilość wybudowanych izb mieszkalnych: w 1950 roku wybudowano 178.800 izb; w 1955 — 252.100; w 1957 — 346.200 izb. Zużycie energii elektrycznej w gospodarstwach domowych wzrosło z 505.800.000 kwh w 1949 roku do 1.459.200.000 kwh w 1957 roku.

Nie sposób wymienić wszystkich inwestycji przemysłowych, powstałych w okresie czternastu lat naszej niepodległości.

Wiele nowych obiektów przemysłowych nie osiągnęło jeszcze pełnej mocy produkcyjnej, wydajność pracy jest częstokroć jeszcze za niska, ale wartość tego, co zbudowano jest bezcenna — na miarę dziejową.

Powstała Nowa Huta, huta „*Warszawa*”, trzykrotnie powiększona została w porównaniu z rokiem 1939 huta „*Kościusko*”. Zbudowano kombinaty bawelnańskie w Fastach koło Białegostoku i w Zambrowie, cementownie w Wierzbicy i Rejowcu, fabrykę kwasu siarkowego w Wivowie, pierwszą w Polsce hutę aluminium w Skawinie, fabrykę związków azotowych w Kędzierzynie, fabrykę samochodów osobowych na Żeraniu, zakłady farmaceutyczne w Tarchominie, zakłady przemysłu sodowego w Janikowie.

Zbudowanie tego wszystkiego uważać można za fundament dalszego rozwoju ekonomicznego Polski.

W toku realizacji są inne wielkie roboty, jak doprowadzenie wody do Śląska i Łodzi, uruchomienie kopalni siarki i miedzi, budowę szeregu wielkich elektrowni jak na przykład w Dychowie i Jaworznie.

To jest polski dorobek czternastolecia. Niemały.

Bgr.

Konkurs Literacki

Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego wraz z Radą Uczelnianą Związku Studentów Polskich U. W., redakcja tygodnika „*Od Nowa*” i Państwowym Wydawnictwem „*Iskry*”, ogłosił konkurs literacki. Zgłaszać można: pamiętniki, reportaże, wspomnienia, eseje (nie przekraczające objętością 50 stron maszynopisu) na temat związany z historią Uniwersytetu Warszawskiego, z ruchem studenckim i naukowym, bieżącą działalnością Uniwersytetu, pracą katedr, koł naukowych, organizacji politycznych i społecznych, czy też z pracą naukowców i studentów. W konkursie mogą wziąć udział absolwenci Uniwersytetu Warszawskiego niezależnie od daty ukończenia studiów, osoby, które kiedykolwiek studiowały na U. W. oraz aktualni studenci U. W.

Prace oceniane będą przez sąd konkursowy, w którego skład wejdą przedstawiciele Związku Literatów Polskich oraz wszystkich instytucji organizujących konkurs. Pierwsza nagroda, ufundowana przez Polską Akademię Nauk, wynosi 5.000 zł.; druga i trzecia nagroda, ufundowane przez Wydawnictwo „*Iskry*” oraz tygodnik „*Od Nowa*” — po 3.000 zł.; czwartą i piątą nagrodą są dwutygodniowe wycieczki zagraniczne ufundowane przez Radę Uczelnianą Związku Studentów Polskich; szóstą nagrodą jest aparat fotograficzny, a siódmą — odbiornik radiowy.

Prace należy wysłać na adres: Rada Uczelniana Z.S.P. Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 64, Krakowskie Przedmieście 24, w terminie do 31 sierpnia 1958 roku. Praca powinna być podpisana godłem, a w kopercie opatrzonej tym samym godłem podać należy: nazwisko i imię, wydział i rok studiów, ewentualnie datę ukończenia uczelni oraz dokładny adres. Prace nagrodzone będą drukowane; rękopisy nie zostaną zwrócone.

Konkurs Literacki zorganizowany został z okazji 140-lecia istnienia Uniwersytetu Warszawskiego i 150-lecia Wydziału Prawa. Protektorat nad Konkursem objęli: prof. dr. Tadeusz Kotarbiński, prezes Polskiej Akademii Nauk, prof. dr. Stefan Żółkiewski, minister Szkolnictwa Wyższego oraz prof. dr. Stanisław Turcki, rektor Uniwersytetu Warszawskiego.

TRZY POWROTY

Jerzy PUTRAMENT

(Fragmenty)

SŁONECZNY I ROZSPIEWANY

JAK Chełm został mi w oczach zalany deszczem, tak Lublin przetrwał w pamięci słoneczny. W sierpniu były upały i kurz. Chodziliśmy po mieście huczącym od samochodów. Za potężnymi ciężarówkami dreptały jak jamniczki działka przeciwpancerne albo potoczyły kłusowały garbate, opatulone w brezenty zenitki. Kurz z dróg podmiejskich włókł się za nami aż tutaj, do skwerków lubelskiego Krakowskiego Przedmieścia. Przelatywały urywki piosenek i zanim się je dosłyszało, już rozspiewane gromady miały zakręć, chwiała się w pudle ciężarówka, niki. Wszystko parło na zachód.

To był nasz świat, świat ruchu, świat wojny i dróg wojennych. Znaliliśmy go z pustyni pod Wiaźmą, z jesieni smoleńskiej, z zytomierskiego przedwiośnia i podlubińskiego czerwca. Rzucał się w oczy, rozpychał pędem i hałasem starożytnie uliczki, przesłaniał ten inny, upragniony i najciekawszy, ten nieznaną świat, do którego wracaliśmy.

Jakże niezwykle uczucia! Chodziłem po mieście, patrzyłem. Nawet twarze, nawet wyraz oczu spotkanych był inny, niepodobny, niespodziewany. Ojczyzna była nie taka, jaką odbudowywaliśmy ze wspomnień, a jeszcze bardziej — z pragnień. Liczyłem, że zaskoczy, przypuszczałem konieczność współzynnika omyłki. Ale zaskoczenie było inne i współzynnikiem zawdzielił.

Czasem konfrontacja kończyła się tragicznie — zwłaszcza dla marzycieli. Mój dobry znajomy wrócił do miasteczka, gdzie skończył szkołę, porozmawiał z dawnymi kolegami — i pałnął sobie w teb. Nie docenił hitleryzmu i jego sztuki odcieżwiania ludzi.

Nie miał racji. Jego miłość była zbyt kategoryczna, zbyt wymagająca. Miłość do kraju ojczystego, jeśli jest prawdziwa, jest zarazem fatalna, nie do odwrócenia, jak każda miłość. Kocha się nie za zalety. I jedyna odpowiedź, jeśli się ujrzy zło — zaciąć zęby, a nie — za karę — potępić, uciekać.

Zresztą na początku niewiele było czasu na oglądanie. Dni galopowały oszotamiając rozmachem i trudno było znaleźć chwilę na uogólnienia. Jeszcze trudniej przypominać teraz szczegóły. Gdy zaledwie po roku próbowałem przyrękać oczy odwozimy ówczesny lubelski krajobraz — jedno zostało:

Rozpalone słońce sierpniowe, niebo czyste, niebieskie, na horyzoncie już po jesiennej przybladłości, gdzieś bardzo wysoko niewidoczny jeden samolot. Jego warokot, sciszony, to znów wybuchający rozpędem, dudnił nieodstępnie nad nami.

„RZECZPOSPOLITA”

Czwartego sierpnia ukazał się pierwszy numer lubelskiej „Rzeczpospolitej”. Był to piękny wyczyn dowodzonego przez Borejszą zespołu, zważywszy że:

Po pierwsze — przybyliśmy do Lublina drugiego sierpnia w południe, nie mając przygotowanego; ani lokalnej redakcji, ani mieszkań, ani stołówki, ani żadnych temu podobnych spraw świata tego.

Po drugie — możliwości drukarskie ówczesnego Lublina niewiele się zmieniły w ciągu czterystu lat historii drukarstwa lubelskiego. Biernat z Lublina miał w zasadzie pewnie te wszystkie udogodnienia, które skądinąd urocze miasto zaofiarowało Borejszy — to znaczy ręczny skład i płaską maszynę.

Borejsza jednak potrafił pokonać wszystkie tak zwane trudności obiektywne. W brawurowym natarciu zdobył wspaniały — jak na owe czasy — lokal redakcyjny. Wepchnął pracowników redakcji do najważniejszej i przez dłuższy czas — jedynej — stołówki. Wynałaził i skonfiskował kilka bel różnokolorowego papieru. Obsadził posterunkami redakcyjnymi jedną czynną podówczas drukarnię. I nawet napisał artykuł wstępny.

Byłem wtedy jego zastępcą. Po raz pierwszy w życiu trafiłem do redakcji. Zrazu przeżywałem nie lada trzęsienie przy każdej sprawie, która wymagała mojej decyzji. Ale przykład Borejszy bardzo szybko wyczerpał mnie z tej choroby, która często zostaje w dziennikarstwie do końca życia, zmieniając tylko formę, z tremy nowicjusza stając się nalogiem klasystrowania, uzgadniania, lęku przed własnym zdaniem, w sumie — asekurancem.

Borejsza był wzorem pod względem szyb-

kości i samodzielności decyzji. Jeśli uznawał jakąś sprawę za słuszną, bił się o nią aż do ostatecznych, najwyższych instancji władzy. Jeśli jakąś sprawę uznał za niesłuszną, to wyrzekał się jej od razu.

Wobec żadnej zaś sprawy nie był obojętny. Miał bowiem bardzo proste kryterium: czy dana rzecz pomaga nam w walce z hitleryzmem, czy posuwa naprzód sprawę Polski Ludowej? Przy takim kryterium ilość spraw obojętnych redukuje się znakomicie.

Na początku Lublina najsilniej na dusze ludzkie oddziaływały morderstwa popełnione przez hitlerowców w przeddzień ich ucieczki. Wielkim żalobnym wiecem uczczono ofiary faszyzmu pomordowane w lubelskim Zamku jeszcze w końcu lipca.



14 lipca 1944 roku. Ludność wyzwolonych terenów czyta pierwsze numery polskiej prasy...

GEORG WOLFF

...Trochę dalej, za krematorium, jest glina, dół, ludzie. W rowie leżą trzy czy cztery zrudziały, zaczynające się rozkładać trupy nagich kobiet. Ktoś je przykrył podartą kurtką, ktoś rzucił jeden biały i cztery czerwone floksy. Dalej, jak płasko-rzeźby do połowy wyłonione z gliny, wystają zwłoki kilkunastu nagich ludzi. Jeden — o potwornie szerokiej barach, inne — raczej kobiety.

Jeszcze dalej grzebie się w dole kupa ludzi. To są Niemcy. Głina niechętnie wyskakuje spod ich łopat na ziemię. Pilnuje ich jeden żołnierz. Cywile stoją na wykopanej ziemi i gadają.

— Ten to był w Lublinie.
— Który?
— Ten w koszuli, bez rękawów.
— On mnie sam badał!

Wychodzi z rowu. Żółta skóra, zszarzałe od lęku śmierci oczy. Czuję nienawiść stu spojrzeń. Wargi mu się nie domykają. Szyja zarosła czarnymi włosami, podbródek zaś ma gładki.

Nazywa się Georg Wolff. Z zawodu aptekarz, ma lat 36, był tu kapitanem szandarmierii. Mały czelczyna przeciska się do nas i jeszcze raz powtarza, że ten właśnie jego do siebie wzywał i groził szubienicą: za siostrę, którą wzięli do więzienia.

Jakaś kobieta na gorze płacze na głos, woła Boga, woła syna, który gdzieś tu pozostał. Jakiś staruszek, Różyński, na moją uwagę, że Oświęcim jest jeszcze straszniejszy — z oburzeniem protestuje: nieprawda, tu najwięcej zginęło, ja sam tu mieszkalem, myśmy wytrzymał nie mogli, tego swądu, tego krzyku, zapytajcie żony, ona tu była w więzieniu. A potem ciszej dodaje: mój syn tu leży.

Ludzie stoją. Ci z chustkami przy twarzy — poprostu z ciekawości. A tamta ze szczytnymi oczami i te staruszki przyszyły tu wiedzione najbardziej rozpaczliwą nadzieją — zobaczenia, już nie żywych, ach, skądże; — już nawet nie żeby zabrac i pochować zmasakrowane zwłoki — nie wiem, czego się tu spodziewają. To, co zostało tu z ludzi, jest nie do rozpoznania. Te osierocone matki przyszyły tu, żeby zobaczyć miejsca, gdzie zginęli ich synowie,

zobaczyć ten skrawek świata, gdzie wyszeptali ostatnie słowa. Jak okrutnie mało może im dać jeszcze życie! Jak bezradni jesteśmy wobec nieszczęścia!

Georg Wolff patrzy nam pokornie w oczy. Odsuwamy go gestem ręki. Może dlatego, że pracował w rowie, może dlatego, że pracował w hitlerowskiej policji, ale blisko stać przy nim nie można. Cuchnie śmiercią.

NAJWIĘKSZY MORD

3 listopada 1943 roku zapisał się w dziejach Majdanka krwawymi zgłoskami. W tej zmechanizowanej katowni, gdzie co dzień ginęły setki i tysiące ludzi, dzień ten wyróżnił się niebywałym natężeniem mordu.

Dwa dni przedtem zabrano wszystkie dzieci, trzymane dotąd z kobietami, wywieziono i gdzieś wymordowano. Tego dnia, 3 listopada, o godzinie czwartej z rana urządzono alarm bojowy, niemiecka załoga zjawiała się w hełmach, wzmocnione patrole SS krążyły między barakami, na wieżach strażniczych ustawiono karabiny maszynowe.

Więźniowie poczuli, że szykuje się coś nadzwyczajnego. Osłabieni głodem i biem, teraz odurzony świadomością natychmiastowej śmierci — tracił resztki sił padali, dostawali konwulsji.

Zaczęto prowadzić skazanych. Ludzie rozbiłali się w barakach przy łaźni i szli — kobiety i mężczyźni razem, zsiniali — olbrzymim pochodem przez obóz.

10. Czekaliśmy, że wszyscy pojedziemy do komina — dodaje felczer.

WYZWOLONY PARYŻ, PŁONĄCA WARSZAWA...

W tym czasie tempo wydarzeń historycznych wzrosło jeszcze bardziej. Mimo, że pogłoski o zgonie Hitlera zostały natychmiast sprostowane, mimo że Trzecia Rzesza nie zamierzała bynajmniej sama się rozsypanywać — wydawało się, że uderzenia sprzymierzonych, po raz pierwszy w tej wojnie zbiegające się w czasie, potrafią nareszcie obalić hitleryzm. Nawalnica, która zmioła front niemiecki pięć tygodni temu nad Dnieprem, dotarła teraz do Wisły. Na zachodzie wylaniała się z burzy wyzwolona Francja. Nie szybko zrozumieliśmy związek między tymi dwoma frontami. Nie od razu stało się jasne, że szybszy odwrót niemiecki we Francji oznacza tym bardziej uparte czepianie się przez hitlerowców każdej polskiej rzeczulki. Był czas, kiedy zdawało się, że to już koniec. Pierwszy miesiąc w Lublinie siedzieliśmy na walcach.

Stopniowo komunikaty ze wschodu stawały się krótsze. Północne, nie rozbite skrzydło niemieckie, zatykało wyrwę na Narwi i Biebrzy. Szybko ściągane z zachodu odwoły obsadzały Wisłę. Przez kilka dni wydawało się, że pod Sandomierzem rozwinie się nowy skok na zachód, patrole radzieckie dochodziły pod Kielce, przybywali stamtąd partyzanci i opowiadali o piekle na przeprawach wiślanskich. Nie, przyczółek obmurowany został wieloma liniami niemieckiej obrony.

A w Warszawie szalało powstanie. Mętne słuchy dochodziły do nas, łapano szczątki audycji, wierzone i nie wierzone. Przyjeżdżali ludzie z Otwocka, mówili o walkach gdzieś na północ. Ponury cień wisiał nad stolicą. Radio huczało uwolnionym Paryżem i płonącej Warszawą. I dopiero w pół roku później dowiedzieliśmy się, że nawet najstraszliwsze pogłoski, któreśmy słyszeli na temat stolicy, nie dorównywały jeszcze prawdzie.

ULICA SPOKOJNA

Przez pierwsze pół roku Polski jej sercem był Lublin. Przez pierwszych parę tygodni sercem Lublina była ulica Spokojna. Trzpiętrowy, nie większy od przeciętnego gimnazjum dom. Tam było wszystko: cały rząd, czyli po ówczesnemu Pekawuen, wszystkie „resorty”, czyli ministerstwa, wszyscy „kierownicy resortów”, czyli ministrowie. I jeszcze wiele innych urzędów.

Bardzo osobliwie to wyglądało. Rozrost aparatu odbywał się w niesłychanym tempie. Są takie stadia rozwoju embrionu, gdy komórki dzielą się po kilka razy na minutę. Z resortów wylaniały się departamenty, z departamentów — wydziały, z wydziałów — referaty, z referatów — sekcje. Improwizowano na skalę dotąd nie spotykaną. Potok zwykłych ludzi wdzierał się przez drzwi, jeszcze bez przepustek, na chybił trafił, stamtąd zaś wychodzili już stateczni urzędnicy.

Naprzeciwko był maleńki domek z fantazyjną facjatką, w pięknym, mikroskopijnym ogródku. Na parterze mieściła się pierwsza i długo, długo jedyna stołówka. Stało tu parę stołów i wisiały jelenie rogi. Stoly były puławy. Po tygodniu tłumy czekających wydeptały porządne chodniki, rozbiegały się po okolicznych posesjach, szabrując krzesła, awanturowały się, kłóciły, dopominały o jedzenie. Rogi — te były do ozdoby. Ale pewnego pięknego dnia ni stąd, ni zowąd spadły nagle na głowę naszej pracownicy redakcyjnej.

Do stołówki szedł każdy, kto chciał. Pilot z samolotu łącznikowego i minister, szofer i przedstawiciel zaprzyjaźnionych państw ościennych. Ostatni stół miał reputację „ministerialnego”. Ale i tam siedzieli wszyscy. Jedynym zresztą przywilejem tego stołu było to, że teoretycznie otrzymywało się tu posiłek poza kolejką. W praktyce zależało to jednak od stosunków towarzyskich klienta z obsługującym personelem.

Jeśli się umiało uśmiechnąć do podających, zρέcznie jej pochlebic czy rozbawic — można było liczyć na otrzymanie talerza zupy jarzynowej grubo przed pół tuzinem „kierowników resortu”.

Rozgrywały się podówczas rzeczy naprawdę historyczne — przecież już we wrześniu zaczęto przeprowadzać w Lubelskiem, Rzeszowskiem, Białostockiem reformę rolną. Nowa państwo powstawało na Lubelszczyźnie z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Jak w Pierwszej Dywizji najznamienniejszą cechą była obfitość kursów i szkół, tak Polska lubelska była także jednym wielkim kursem budowniczych przyszłej Polski Ludowej.

O nią toczyła się wtedy zacięta, krwawa walka. Po zaryglowaniu przez Niemców wylotu sandomierskiego wojska radzieckie brawurowym atakiem „antibii” — ziemnowodnych samochodów — sforsowały gdzieś w połowie sierpnia Wisłę pod Warką i utworzyły tam pokazny przyczółek mostowy, oparty o dolną Pilicę. Nasza pierwsza brygada pancerna im. Bohaterów Westerplatte w tym właśnie czasie została rzucona na ten przyczółek.

Nasi różnócy nie wiedza.
— Myśleliśmy, że na froncie coś się sta-

Tydzień we Francji...

W ciągu trzech dni Paryż, podobnie zresztą jak inne miasta francuskie, bawił się i tańczył. Quatorze Juillet zorganizowany został w tym roku jak „za dawnych dobrych czasów”, państwo dołączyło się do prywatnych właścicieli kawiarni i restauracji, urządzając zabawy i bale na placach i ulicach.

W ubiegłym roku, a także rok przedtem nie obchodzono tak radośnie narodowego święta, gdyż uznano (przynajmniej oficjalnie), że ponieważ w Algierii trwa wojna, krajowi przysioł raczej powaga niż przesadna wesołość. Jednakże — mimo że wojna w Algierii trwa nadal — czynnik oficjalnie uznany obecnie za możliwe a nawet pożądane, aby lud się bawił.

Sam dzień Czternastego Lipca upamiętnił się defiladą na Champs-Elysees, w której obok jednostek wojskowych wystąpili także byli kombatanci, między innymi 4.000 kombatantów-Arabów, którzy mając trybunę prezydencką podnosili palce nadając im kształt litery V (Victoire), tak pamiętny z czasów ostatniej wojny. Są dzienniki w Paryżu, które upatrują w tym fakcie dowód, że muzulmańsko-europejska „fraternizacja” robi nadal postępy. Nie obeszło się jednak bez znamienego incydentu: otóż młodzi Algierczycy wzniesli w czasie defilady sztandar algierski; prawdopodobnie w intencji zadokumentowania, że naród algierski nie jest za „fraternizacją”.

Jakby nie było, komunikat francuskiego dowództwa informuje w przeddzień Czternastego Lipca, że (cytujemy za korespondentem „Figaro”), „liczne starcia miały miejsce w końcu tygodnia w Algierii”. Notuje się 115 zabitych po stronie powstańców; o stratach własnych komunikat nie mówi nic.

W przeddzień Święta Narodowego, generał de Gaulle (który 14 lipca przyjmował defiladę morską w Tulonie) wygłosił krótkie przemówienie do ludów zamieszkujących terytoria zamorskie Francji, podkreślając wspólnotę interesów łączącą metropolię z jej byłymi koloniami. „Kieruję do ludów zamorskich apel przyjaźni i nadziei” — powiedział on między innymi i dodał: „Nigdy ludzie, którzy zamieszkują te terytoria i ci, którzy mieszkają w metropolii nie byli moralnie bardziej sobie bliscy”. Przemówienie generała de Gaulle jest jednym z pociągnięć, jakie nowy rząd przedsięwzię dla uregulowania stosunków między Metropolią a krajami zamorskimi.

Nie był to jednak jedyny przedmiot aktywności gabinetu generała de Gaulle w ubiegłym tygodniu. Pilnie rozpatrywano zagadnienia gospodarcze, a głównie sprawy płac i cen. Generał de Gaulle chciałby uzyskać od ludzi utrzymujących się z pracy swego rodzaju „rozejm” aż do późnej jesieni. Jednocześnie żąda on ofiar od posiadaczy i kapitalistów. Napotkał on jednak tutaj na nadspodziewanie silny opór — przynajmniej, jeżeli chodzi o producentów zboża. Otóż rząd

pragnąłby ograniczyć podwyżkę cen zboża tylko do pięciu procent, podczas gdy przedstawiciele rolników żądają uparcie podwyżki 12-procentowej. Jak dotąd nie zdołano tego konfliktu rozstrzygnąć.

Rzecznik ministra finansów zapowiedział ponadto, że mimo sukcesu rozpisanej ostatnio pożyczki, trzeba będzie się odwołać do ofiarności obywatelskiej Francuzów i zażądać dodatkowych funduszy na niezbędne wydatki (między innymi na wydatki wojskowe, których domaga się Armia w Algierii). Czy nastąpi to w formie nowych podatków, czy też w formie pewnych cięć budżetowych — nie wiadomo jeszcze.

Mimo że w tej chwili większość ludzi myśli o wakacjach i odpoczynku po całorocznym trudzie, zainteresowanie pra-

cami rządowymi dotyczącymi przyszłej konstytucji jest dość duże — zwłaszcza wśród ludzi którzy dobrze rozumieją że wstrząsająca ona o przyszłym obliczu krzywdy. Otóż podstawowe zasady nowej Konstytucji (która ma zostać poddana referendum w pierwszych dniach października) zostały ujawnione w ubiegłym tygodniu. Będzie to konstytucja bardzo paragrafowa, złożona z niewielkiej ilości paragrafów, przewiduje ona szersze niż obecnie atrybuty dla prezydenta i mniejsze — dla parlamentu.

Prezydent Republiki wyznacza szefa gabinetu. Prezydent może: a) rozwiązać parlament w wypadku wyjątkowym (np. w razie dłuższego konfliktu między rządem a Zgromadzeniem Narodowym); b) rozpisać referendum na aktualne tematy polityczne; c) zwracać się z wezwaniami do kraju i do parlamentu; d) kierować państwem w okresach poważniejszego kryzysu narodowego.

Uprawnienia rządu znane są tylko w

grubych zarysach. Ma on być odpowiadający przed Zgromadzeniem, ale nie wiadomo jeszcze jak dalece Zgromadzenie będzie miało wpływ na niego i w jakim trybie będzie mogło go obalać.

Wreszcie jeżeli chodzi o Zgromadzenie Narodowe — to ma się ono składać: dwóch Izb — Izby Deputowanych, prawdopodobnie o mniejszej liczbie posłów niż obecnie oraz z Senatu, do którego włączona zostanie większa niż obecnie ilość senatorów z terytoriów zamorskich Francji.

Całkowicie otwarte pozostaje pytanie organizacji Unii Francuskiej, to jest stosunków między Metropolią a byłymi koloniami. Jeżeli wnioskować z przemówienia generała de Gaulle do ludów zamorskich (o którym wspomnieliśmy wyżej) to mielibyśmy jakiś rodzaj federacji z ograniczoną autonomią dla każdego kraju. Ale za wcześniej jeszcze na okładkę przepowiednie.

...i na świecie

Bliski Wschód w ogniu

Wydarzenia niezmiernie wagi rozgrywają się w strefie Bliskiego Wschodu, która coraz bardziej zasługuje na często nadawaną jej nazwę „prochowni świata”. Tym razem widownią wypadków jest Irak, gdzie siły opozycji obaliły monarchię i ogłosiły republikę. Nowoutworzona „Rada republikańska” zaznaczyła natychmiast, że prowadzić będzie politykę zgodną z polityką Zjednoczonej Republiki Arabskiej i jej prezydenta Nassera i w depeszy skierowanej do tego ostatniego, zawiadomiła o uznaniu jego państwa.

Przewrót w Iraku obfitował w liczne krwawe incydenty. Emir Abdullillah, wuj króla Fajsala i następca tronu Iraku, został zliczowany. Taki sam los miał spotkać prezydenta rządu Nuri Saida. Los młodego króla Fajsala jest nieznany, lecz według szerzonych pogłosek miałby on również zostać stracony.

Położony na półwyspie arabskim w sercu Bliskiego Wschodu, Irak jest jednym z krajów najbogatszych w złoża naftowe, eksploatowane w ogromnej większości przez potężne monopolowe towarzystwa amerykańskie i angielskie. Nie przypadkiem, wiadomość o przewrocie w Iraku wywołała jako pierwszą reakcję gwałtowny spadek akcji naftowych Bliskiego Wschodu.

Mocarstwa zachodnie uczyniły w Iraku swe główne oparcie również i w dziedzinach politycznej i strategicznej. Irak był jednym z głównych członków tak zwanego „paktu bagdadzkiego”, podpisanego w jego stolicy, Bagdadzie, do którego obok Anglii wchodziły państwa azjatyckie, orientujące się na politykę pro-zachodnią. Premier Iraku, Nuri-Said był zresztą inicjatorem tej orientacji i najczynniejszym na Bliskim Wschodzie przeciwnikiem egipskiego premiera Nassera i jego neutralnej polityki. Jak wiadomo, ostatnio, w odpowiedzi na połączenie Egiptu i Syrii w Zjednoczoną Republikę Arabską, z poparciem mocarstw anglo-saskich została utworzona tak zwana Federacja Arabska, do której wszedł Irak i Jordania.

Lecz rząd Nuri Saida nie cieszył się po-

pularnością wśród ludności Iraku i opierał się głównie na represji policyjnej, która bezwzględnie dusiła wszelkie przejawy dążeń do narodowego oswobodzenia kraju. Przykład Egiptu i ostatnio ruch powstańczy w Libanie przyspieszyły rozwój wypadków w Iraku.

Francja i sprawy międzynarodowe

Zmiany, które zachodzą we Francji w związku z dojściem do władzy rządu generała de Gaulle stanowią w dalszym ciągu jeden z ważniejszych czynników polityki międzynarodowej i zdają się wpływać na jej rozwój.

Jak już donosiliśmy premier de Gaulle przyjął kolejno premiera Anglii, Mac Millana, amerykańskiego sekretarza Stanu, Foster Dullesa, następnie ministra Obrony Niemieckiej Republiki Federalnej, p. Straussa i ambasadora Polski p. Gajewskiego.

Z kolei, ambasador ZSRR, p. Winogradow złożył generałowi de Gaulle dłuższą wizytę, w wyniku której oświadczył prasie, że w rozmowie została poruszona sprawa konferencji „na szczytach”. „Generał de Gaulle — dodał p. Winogradow — odniósł się bardzo przychylnie do projektu konferencji, oraz wyraził żywe zainteresowanie sprawami rozwoju gospodarczego, kulturalnego i naukowego ZSRR”.

Kontakty rządu francuskiego z mocarstwami Zachodu i Wschodu najwidoczniej żywo niepokoją sfery rządzące w Bonn. Prasa zachodnio-niemiecka bez ogródek krytykuje postępowanie generała de Gaulle, przede wszystkim jego plany wyposażenia Francji w broń atomową, nie ukrywając

obaw, że Francja mogłaby zająć pierwsze miejsce w Zachodniej Europie, co sprzeciwia się ambicjom niemieckim.

W tych warunkach wizyta w Paryżu bońskiego ministra Obrony, p. Straussa, miała wyraźny polityczny charakter. Choć oficjalnie mowa była o ewentualnych zamówieniach dla Niemiec samolotów w fabrykach francuskich i o współpracy w fabrykacji zbrojeń, jednakże p. Strauss złożył również wizytę głównodowodzącemu OTAN-u, generałowi Norstad, z którym omówił sprawy uzbrojenia atomowego Niemiec Zachodnich.

Niemcy poruszają sprawę zjednoczenia

Niepokój wywołany w Bonn wzmocnieniem działalności dyplomatycznej Francji na Zachodzie i na Wschodzie, podsygnalizował nową inicjatywę: w wyniku jednogłośnie głosowania Bundestagu (Parlamentu), rząd NRF zwrócił się do „Czterech” — Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji i ZSSR — z propozycją podjęcia rozmów o zjednoczeniu Niemiec. Bonn uważa, że w tym celu mogłoby być stworzony specjalny komitet Czterech, w związku z ewentualną konferencją „na szczytach”.

Inicjatywa ta jest bardzo obszernie komentowana w prasie zachodnio-niemieckiej, która twierdzi, że w szczególności polityka rządu bońskiego w stosunku do państw Wschodu, jak ZSSR i Polski, staje się obecnie bardziej aktywna „aby nie dać się uprzedzić Francji”.

Odpowiedź na propozycję niemiecką została już pośrednio dana przez premiera Chruszczowa, który w mowie wygłoszonej w Berlinie na Zjeździe Socjalistycznej Partii Jedności Niemieckiej Republiki Demokratycznej, raz jeszcze podkreślił, że „zjednoczenie Niemiec powinno być dziełem samych Niemców i osiągnięte przez wzmożone kontakty między dwiema częściami Niemiec”.

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW AMATORÓW PŁYT

Kto z naszych Czytelników pragnie zakupić płyty (microsilons) z pięknymi piosenkami „Śląska” i „Mazowsza”, niech jak najszybciej zwróci się do Redakcji „Tygodnika Polskiego”.

Możemy dostarczyć te płyty po niezwykle atrakcyjnej cenie, specjalnej dla naszych Czytelników.

PLYTY 33 1/3 obr. — 25 cm. P I O S E N K I:

L 0024 — Karolinka — Sprzeczką — Hej, mój Jasinek — Gdybym to ja miała — Ondraszek — Stoneczko — Bandoska opolska — Piłoreczka.

Cena wraz z kosztami przesyłki: 1.400 franków.

L 0003 — To i Hoła — Pod borem — Kawałiry — Bandoska — Ogarek — Prze-
piłoreczka — Cyranczka — Dolina.

Cena wraz z kosztami przesyłki: 1.400 franków.

L 0086 — Polonez warszawski — Laura i Filon — Co ja myślę — Dwa serduszka —
Gęś wodą — Przysięwki wielkopolskie — Krakowiaczek — Furman

Cena wraz z kosztami przesyłki: 1.400 franków.

L 0153 B — Ida Górale — Hanulinka — Coś tam w lesie — Kołysanka — Idzie
górnik — Na kopalni — Froncek — Trzysta Buczaków — Hen daleko —
Pod moim okienkiem — Dziadek.

PLYTY 45 obr. — 17 cm. T A N C E:

N 0046 — Marsz bohaterów Warszawy — Krakowiaki — Podkóweczki dajcie ognia
Od sąsiada do sąsiada.

Cena wraz z kosztami przesyłki: 800 franków.

N 0047 — Gęś się w rowie pasie — Zosia figlarka — Po fajerancie — Różni Walenty
Cena wraz z kosztami przesyłki: 800 franków.

Wszelkie zamówienia dostarczamy w paczkach „Contre Remboursement”
w 24 godziny po otrzymaniu zamówienia.

Prenumeratorzy „Tygodnika” proszeni są o nadsyłanie zamówień. Czytelnicy załączą przy zamówieniu niniejsze ogłoszenie.



Dwóch chłopców sześciolletnich z prze szkola w Mauberge namalowało taki motyw dekoracyjny przy pomocy tużla chińskiego. Dyrektor UNESCO zainteresował się talentem chłopców i zamówił jedno z ich dzieł.

PROSTO Z POLSKI

Centrum Warszawy

Warszawa ma jeszcze niecałkowicie zabudowane śródmieście. Niedawno właśnie zatwierdzony został 10-letni plan jego rozbudowy. Poza Pałacem Kultury i hotelem „Warszawa” centrum otrzyma kilka następnych wieżowców. Przewiduje się także budowę trzech nowych wielkich tras komunikacyjnych, łącznie z nowymi mostami przez Wisłę. Pierwsza z nich, tak zwana trasa mostowa, jest już w budowie, dalsze, a więc most Świętokrzyski i Łazienkowski, powstaną w latach następnych.

Plan obejmuje także między innymi zakończenie budowy Teatru Wielkiego i Opery, budowę gmachów Biblioteki Narodowej, odbudowę Zamku Królewskiego, budowę 13 nowych kin, wielkiego cyrku itp. W Śródmieściu zbudowanych będzie poza tym około 4.500 nowych izb mieszkalnych, natomiast budowę biurów postanowiono na tym terenie ograniczyć do minimum.

Kłopoty z wodą

Wiele kłopotów sprawia w kraju gospodarka wodna. Wszelkie inwestycje w tej dziedzinie są bardzo kosztowne, a pieniędzy nie ma zbyt wiele. Jednakże i pod tym względem notuje się ostatnio pewne postępy. Między innymi w Sejmie powstał specjalny zespół poselski, właśnie dla spraw gospodarki wodnej.

Posłowie, wśród których znajdują się tacy wybitni specjaliści jak rektor Politechniki Gdańskiej, prof. dr Wacław Balcerski, doszli do wniosku, iż najpilniejszymi obecnie problemami jest: zagospodarowanie Wisły i Odry, zalesienie nagich stoków i grzbietów górskich w rejonie Podhala oraz obmyślenie środków przeciwdziałających zanieczyszczeniu rzek i jezior przez ścieki przemysłowe.

Ożywiła się także działalność rad narodowych wokół spraw wodnych. Rady województw: kieleckiego, lubelskiego, krakowskiego i rzeszowskiego noszą się z myślą stworzenia ogólnokrajowego funduszu społecznego i wykorzystania zgromadzonych w ten sposób środków na regulację środkowego biegu Wisły. Należy przypuszczać, iż ostatnie groźne powodzie, przyspieszą jeszcze te wszystkie decyzje.

Polskie autobusy

Polska nie produkowała do niedawna autobusów. Podstawowe typy tych wozów używane obecnie w kraju to francuskie Chaussony i angielskie Leylandy.

W roku 1957 pojawiły się na szosach pierwsze polskie autobusy „San”, wyprodukowane przez Sannocką Fabrykę Wagonów. Wozy te mają bardzo ładną, nowoczesną karoserię i przeznaczone są głównie do komunikacji międzymiastowej.

Obecnie polscy konstruktorzy zbudowali nowy autobus „Odra”. Posiada on silnik wysokopiętny o mocy 140 KM a jego szybkość wynosi ponad 80 km. na godz. Autobus produkowany będzie przez Zakłady w Jelczu w trzech „wydaniach”, jako autobus dla komunikacji miejskiej, międzymiastowej oraz autobus turystyczny.

Miedź pod Głogowem

Nowe bogate złoża miedzi odkryte w rejonie Głogowa na Dolnym Śląsku są w dalszym ciągu badane przez geologów. W oparciu o ich opracowania sporządzona będzie generalna koncepcja zagospodarowania całego Zagłębia. Przewiduje się, że powstanie tu w pierwszej kolejności wielka zespółowa kopalnia z kilkoma szybami i centralnym zakładem wzbogacania.

Kopalnia ta ma wydobywać około 2 milionów ton rudy miedzi rocznie. Budowa jej rozpocznie się najpóźniej w roku 1960, a prace przygotowawcze jeszcze w r. 1959. Będzie to jedna z największych budów przyszłego planu 5-letniego. Warto dodać że chociaż miedź znajduje się na dość dużej głębokości, złoża są bardzo wydajne, a poza

tym zawierają cenne domieszki innych metali nieżelaznych.

Trzy kółka

Jest wiele takich prac na wsi, które lepiej wykonywać do spółki niż w pojedynkę. Chłopi rozumieją to doskonale, nie więc dziwnego, iż kółka rolnicze cieszą się obecnie dużym powodzeniem. Formy ich pracy i cele są różne. Kółko w Sokołowie Budzyńskim w województwie poznańskim utworzyło dla przykładu zespół maszynowy. Zakupiono ze wspólnych pieniędzy między innymi snopowiązałkę, żniwiarkę, wrywacze do buraków, siewniki do zboża i nawozów, myśli się też o zakupieniu traktora. Maszyny te służą wszystkim członkom.

Kółko w Krzyżowicach województwa opolskiego, zajmuje się dla odmiany produkcją kwalifikowanego ziarna dla siebie i na sprzedaż. We wsi Błękity (woj. koszalińskie) chłopi postanowili wspólnie zbadać jaka odmiana ziemniaków najlepiej się na ich terenie udaje. Utworzyli w tym celu kółko, które przebadalo 16 odmian i wybrało jedną z nich, dającą najwyższe plony.

Jak widać, zainteresowania i potrzeby są tu rzeczywiście różne. Obecnie kółka rolnicze zrzeszają już w Polsce prawie 400 tysięcy chłopów. Stanowią one także pewną formę samorządu chłopskiego.

W WROCŁAWSKIM

— W ramach obchodu 850-lecia Jeleniej Góry w gmachu Ratusza ma być wmurowane popiersie króla Bolesława III Krzywoustego, który w 1108 roku polecił opasać miasto murami i nadał mu prawa. Rzeźba opracowana została na podstawie obrazu Jana Matejki.

W POZNAŃSKIM

Pochodzący z trzynastego wieku zamek Przemysława w Poznaniu uległ w czasie ostatniej wojny ruinie. Obecnie postanowiono zamek odbudować. Projekt rekonstrukcji przewiduje, że do końca 1960 roku zamek stanie w całej okazałości. W salach zamkowych znajdują pomieszczenie ekspozycji „Wystawy Milenium”, która trwać będzie przez sześć lat (do 1966 roku).

W ŁÓDZKIM

W roku bieżącym Zakłady „Boruta” w Zgierzu, Zakłady Chemiczne w Pabianicach oraz w Woli Krzysztoporskiej rozpoczęły produkcję szeregu szlachetnych barwników i półproduktów, sprowadzanych dotychczas z zagranicy. Ogółem krajowa wytwórczość barwników wzrasta o około 20 procent w porównaniu do roku ubiegłego.

Na specjalne podkreślenie zasługuje wielkie osiągnięcie polskiego barwnikarstwa, jakim są barwniki tak zwane pologeny, produkowane według oryginalnej metody polskiej prof. Pizonia. Do końca tego roku przewiduje się wyprodukowanie około 40 ton. Do roku 1965 produkcja tych cennych barwników wzrośnie do około 300 ton rocznie.

W RZESZOWSKIM

Ekipa pracowników Huty Stalowa Wola wyjeżdża w lipcu do Chin. Ekipa zabiera ze sobą wrębniarki węglowe własnej produkcji. Zadaniem pracowników huty „Stalowa Wola”, podczas ich pobytu w Chinach będzie zademonstrowanie zalet tych wrębniarek przy wydobywaniu węgla. Chiny zamierzają zakupić większą ilość tych maszyn dla swego przemysłu węglowego — o ile próby wypadną pomyślnie.

W Instytucie Naftowym w Krośnie opracowywana jest nowa metoda wtórnej eksploatacji ropy naftowej. Metoda ta polega na wtłaczaniu do otworu powietrza i pary



wodnej, podgrzewanych przy pomocy grzejników elektrycznych. Na skutek działania utleniającego powietrza na ropę w złożu podwyższa się temperatura, co poważnie ułatwia wydobycie ropy.

— Spółdzielnie pracy województwa rzeszowskiego uruchomiły w bieżącym roku 14 nowych zakładów produkcyjnych i 37 punktów usługowych. Między innymi otwarto nowe zakłady produkujące obuwie dziecięce w Leżajsku i Jarosławiu oraz wytwórnię materiałów budowlanych w Rzochowie.

Do końca br. spółdzielnie pracy zamierzają uruchomić jeszcze 60 dalszych zakładów i punktów usługowych.

W OLSZTYŃSKIM

W tym roku rozpoczną się poszukiwania grobów rycerstwa polskiego na polach Grunwaldu.

Państwowe Muzeum Archeologiczne oraz Wojskowe Biuro Historyczne przygotowują się do szeroko zakrojonych prac badawczych na terenie pola bitwy pod Grunwaldem. Na jesieni tego roku rozpoczną się prace wykopaliskowe, które będą miały na celu zdobycie materiałów dowodowych, potwierdzających opis Długosza o przebiegu historycznej bitwy.

W BIAŁOSTOCKIM

Wielki kombinat mięsny powstanie w Dojlidach. Kombinacat zostanie oddany do użytku w roku 1961. Koszt budowy wyniesie około 100 milionów złotych. W chwili obecnej niweluje się teren, buduje baraki, hotele robotnicze, drogi dojazdowe, bocznice kolejowe.



Jak podawaliśmy, Polskę nawiedziła druga fala powodzi, powodując olbrzymie straty materialne. Na zdjęciach: wojsko niesie pomoc powodziarzom w Żywcu; rozszalałe wody Soły; mury domy w Żywcu rezbite przez żywioł.

Jerzy POMIANOWSKI

TEATR POLSKIEJ ODNOWY

OSOBLIWI to zespół, który tego roku reprezentuje Polskę w paryskim Teatrze Narodów. Nie waham się nazwać trzyletniej zaledwie pracy tego teatru eksperymentem socjalnym i artystycznym o bardzo znacznej wadze i zasięgu. Zespół ten ma szczególną pozycję wśród niewielu podobnych w swoim kraju. Myślę jednak, że charakter jego działalności — zarówno publicznej, jak koncepcyjnej — zapewni mu także prawo do poważnej uwagi ze strony tych ludzi w Europie, którzy troszczą się o nowe drogi teatru i o jego znaczenie w zmieniającym się świecie. Zespół ten nosi nazwę — Państwowy Teatr Ludowy z Nowej Huty (Théâtre National Populaire de Nowa Huta).

Jest to przede wszystkim teatr — a nie muzeum zastygłych form i konwencji, ani też pechowy konkurent kina czy telewizji z ich naturalistycznymi iluzjami.

Jest to teatr państwowy (national), to znaczy, że zalicza się do przeszło 70-ciu polskich scen dramatycznych (nie licząc oper, teatrów muzycznych, satyrycznych oraz lalkowych) posiadających własne budynki i stałe zespoły, a utrzymywanych z funduszy publicznych, ze skarbu państwa lub municypalitetów. Jest przy tym samodzielnym we wszystkich sprawach artystycznych i repertuarowych. Ludzie tego teatru są

W tegorocznym międzynarodowym festiwalu teatralnym, wzięł udział Państwowy Teatr Ludowy z Nowej Huty, wystawiając sztukę Werfla „Jacobowsky i pułkownik” oraz „Księżniczkę Turandot” Carlo Gozzi. Poniżej drukujemy kilka uwag, znanego krytyka Jerzego Pomianowskiego o teatrze z Nowej Huty.

zdarza, że w sztuce można być tylko ochotnikiem sprawy społecznej, nigdy poborowym.

Wreszcie — jest to teatr ludowy (populaire). Swoboda wyrazu i wyboru jest temu teatrowi potrzebna właśnie po to, aby lepiej służyć człowiekowi z widowni, aby dopomagać środkami sztuki w rozwoju jego wyobraźni i myśli — nie według przepisanej recepty, lecz wedle potrzeb zgłaszanych przez życie.

Kim jest ten człowiek z widowni?

W Nowej Hucie widownia jest w całym tego słowa znaczeniu niezwykła. Kilka lat temu nie było jeszcze śladu miasta Nowa Huta. Dzisiaj na stepie zalanym betonem stoją domy dla prawie stu tysięcy ludzi, między Krakowem, dawną stolicą królów polskich i polskiej sztuki, a nowym, ogromnym, dymiącym kombinatem metalurgicznym, jednym z największych w Europie. W tych ceglanych blokach mieszkają robotnicy i technicy, którzy jeszcze wczoraj przeważnie byli chłopami. Ci ludzie przyszli tu jako siła robocza — lecz jeśli będą czynnikiem, to także dzięki istnieniu takich teatrów i takich koncepcji.

Nowa Huta jest nie tylko dużym przedsięwzięciem przemysłowym, jest to także poważny eksperyment kulturalny. Zapoczątkowano tam próbę wprowadzenia zupełnie nowych, nieobytych z dorobkiem kulturalnym świata mieszkańców całkiem nowego miasta — od razu i n m e d i a s r e s, od razu w samo sedno kultury, sztuki na serio, bez rabatów dla ubogich.

Cóż jeszcze jest eksperymentem koniecznym, godziwym, oczekiwanym i właśnie w ustroju socjalistycznym możliwym do przeprowadzenia — jeżeli nie taka właśnie próba? A jednak podobne eksperymenty, choć projektowane nie raz, rozbiły się o brak cierpliwości, brak środków materialnych, brak zrozumienia, że wyzwolenie człowieka dla twórczości duchowej jest istotnym celem rewolucji. Brakowało entuzjastów, ale przede wszystkim brak bywało zaufania do inteligencji prostych ludzi i do ich zdolności pojmowania sztuki nowoczesnej, nieznającej monopolu mieszczańskich kanonów.

SUKCESY EKSPERYMENTU

Krystyna Skuszanka, Jerzy Krasowski i Józef Szajna, kierownicy

teatru z Nowej Huty uważają, że od wiejskiego folkloru (w którego atmosferze wychowali się dzisiaj robotnicy z Nowej Huty) bliżej jest do sztuki Odrodzenia, czy do innych epok rozkwitu teatru, bliżej także do sztuki współczesnej — niż do zastygłych reguł naturalizmu.

Krytyk włoski — Paolo Emilio Poesjo napisał po triumfie tego teatru na Festiwalu Goldoniego w Wenecji: „Oni nie galwanizują commedia dell'arte. Są komedianami dell'arte do dnia dzisiejszego”.

W Nowej Hucie eksperyment przeprowadzony został na szeroka skalę przy poparciu społecznym, i przyniósł już pierwsze sukcesy. Nie stało się to od razu, ale dziś teatr ten ma wierną widownię. Nie oszukał jej mętniacką poetycznością, ani nie zatkał gęby sztukami dla pocziwego ludku.

Teatr z Nowej Huty wziął na serio i dosłownie sprawę tak zwanego mecenatu ludowego. Odnosi sukces, jak to często bywa, gdy się hasła socjalizmu pojmuje uczciwie, bez perfidii i biurokratycznych wykrętów.

LUDDZI OBCHODZI POLITYKA

Jest rzeczą osobliwą, ale oczywistą, że w Polsce ludzi obchodzi bardziej niż gdzie indziej polityka. Tu się wciąż mówi i pisze o sprawach narodowego losu, zagadnieniach ideowych i moralnych, które w innych, spokojniejszych krajach nie stanowią kwestii tak palących i codziennych. Ten teatr swoją popularność i znaczenie w Polsce zawdzięcza temu właśnie, że poruszał w repertuarze kwestie bolesne, nie rozstrzygnięte, z całym zaufaniem dla inteligencji widowni. Ten teatr celuje w mądrej zabawie i tą drogą chce wprowadzić swoich widzów w regiony wielkiej sztuki i jasnej, postępowej, społecznie aktywnej myśli.

Zaufanie do widza okazało się usprawiedliwione. Przykładem choćby przedstawienie sztuki „Jacobowsky i pułkownik” Franza Werfla, Austriaka, które w tym niewielkim mieście pokazane było przeszło sto razy. Publiczność z Nowej Huty przyjęła entuzjastycznie tę trudną, intelektualną komedię, która wcale nie pochlebiała narodowym mitom. Utarte w Europie przekonanie o polskim

charakterze narodowym zostało na tej scenie przedyskutowane z całą lojalnością, ale też bez uciekania się do łatwej karykatury.

Tym przedstawieniem — które miało miejsce w przełomowym dla Polski, historycznym momencie końca 1956 roku — i scena i widownia Nowej Huty przeciwstawiły się nie tylko hańbie antysemityzmu, lecz dowiodły zarazem, jak wiele ma w Polsce do powiedzenia myśl racjonalistyczna i humanistyczna, kiedy kojarzy się ze szlachetnością i odwagą.

W TEATRZE NARODÓW

Publiczność paryska zobaczyła w sztuce „Jacobowsky i pułkownik” nie polską relikwię narodową, ani zespół starający się tylko wykazać swoje zdolności do kontynuacji dawno znanych tradycji, lecz zespół pragnący dowieść, że nową Polskę stać na słowo i nowe i zarazem własne. Takich teatrów i takich ludzi w Polsce jest więcej, choć stale walczyć muszą z prawami rynku, inercją i dogmatyczną krytyką. Ich cechą charakterystyczną jest połączenie radykalizmu społecznego z artystycznym nowatorstwem; przez długi czas łączenie tych pojęć było wyklęte, wbrew oczywistości i wbrew interesom odbiorców, artystów i nowego porządku społecznego.

Ten program ma w Polsce dobre i stare tradycje. Ich najznakomitszym przedstawicielem w najnowszej historii polskiego teatru był Leon Schiller, świetny reżyser i reformator sceny.

Skuszanka, kierowniczka teatru z Nowej Huty zalicza się do jego wychowawców. Ruch reformy polskiej sceny, bogactwa jej o nowe środki wyrazu i nowe, obchodzące człowieka z widowni treści zaczął się na nowo rozwijać bynajmniej nie od wczoraj.

Czyje sztuki grają w Nowej Hucie? Szekspir, Synge, Musset, Werfel, Gozzi, Goldoni, czy polscy klasycy — Słowacki, Fredro są zdomowieni dzisiaj w tym nowym, robotniczym mieście.

Pracę tego zespołu charakteryzuje przy tym werwa, wesołość i barwność tak dobrze widoczna choćby w przedstawieniu „Księżniczki Turandot” Carlo Gozzi.

Ale oto rzecz najważniejsza: ten teatr nobilituje ludzkie umysły, daje im to, co zapewnić miał socjalizm ludzkiej pracy: sztukę na serio, bodziec do myślenia, poczucie prawomocności własnych przekonań i emocji, prawo do rozumnej i świadomej zmiany świata.

Wycieczki do Polski

NA 4, 6 LUB 8 TYGODNI. — WYJAZDY CO TYDZIEŃ.

UWAGA!

UWAGA!

DODATKOWE WYJAZDY WYCIECZEK DO POLSKI!

CENA: 22.500 franków, która obejmuje bilet kolejowy 2-jej klasy LILLE-POZNAŃ-LILLE

lub 21.330 franków do granicy polskiej w Kunowicach. oraz wszystkie wizy

Adres:

**BIURO PODRÓŻY
GRALLA**

LENS (Pas-de-Calais) naprzeciw dworca (face Gare)

Telefon: 8 6 7

ODJAZD z LILLE

POWRÓT do LILLE

★

4	"	9. 7. (środa)
6	"	10. 7. (czwartek)
4 tygodnie	19. 7. (sobota)	
4	"	23. 7. (środa)
4	"	2. 8. (sobota)
6	"	2. 8. (sobota)
4	"	9. 8. (sobota)
4	"	16. 8. (sobota)
4	"	23. 8. (sobota)
4	"	6. 9. (sobota)

13. 8. (sobota)
19. 7. (sobota)
6. 8. (środa)
25. 7. (niedziela)
27. 8. (środa)
6. 8. (środa)
21. 8. (czwartek)
16. 8. (sobota)
20. 8. (środa)
30. 8. (sobota)
12. 9. (piątek)
6. 9. (sobota)
13. 9. (sobota)
20. 9. (sobota)
4. 10. (sobota)

Zapisy przyjmują:

LENS (Pas de Calais): Biuro Podróży Gralla, 105, rue Thiers i 56, rue de la Paix.
BRUAY-EN-ARTOIS (P. de C.): Café Bal „Palma” (naprzeciw szpitala Sw. Barbary), tel. 432
DECHY (Nord): Café Bal „Musielak”, tel. 96.
DENAIN (Nord): Café Jean, 84, rue Lazare-Bernard, tel. 488.
NOYELLES-GODAULT (P. de C.): Płumacz przysięgły Rychliński, rue Victor-Hugo.
ROUBAIX (Nord): Café L'AMIDO, rue Pierre Motte.
LIBERCOURT (Nord): Café Duszczyk, tłumacz przysięgły p. Otulakowski.
DOUAI-CLOCHETTE (Nord): p. Karasiński, 6, avenue Gounod.
RAISMES-SABATIER (Nord): p. Pietrzak Kazimierz, 25, rue Cuvinot.
CONDE (Nord): Café Bal Marciniak

DOBRA RADA

Żeby nie było przerwy w otrzymywaniu „Tygodnika Polskiego”

zaprenumerujcie nasze pismo, a będzie Wam ono dostarczane przez listonosza do domu.

Imię _____

Nazwisko _____

Miejscowość _____

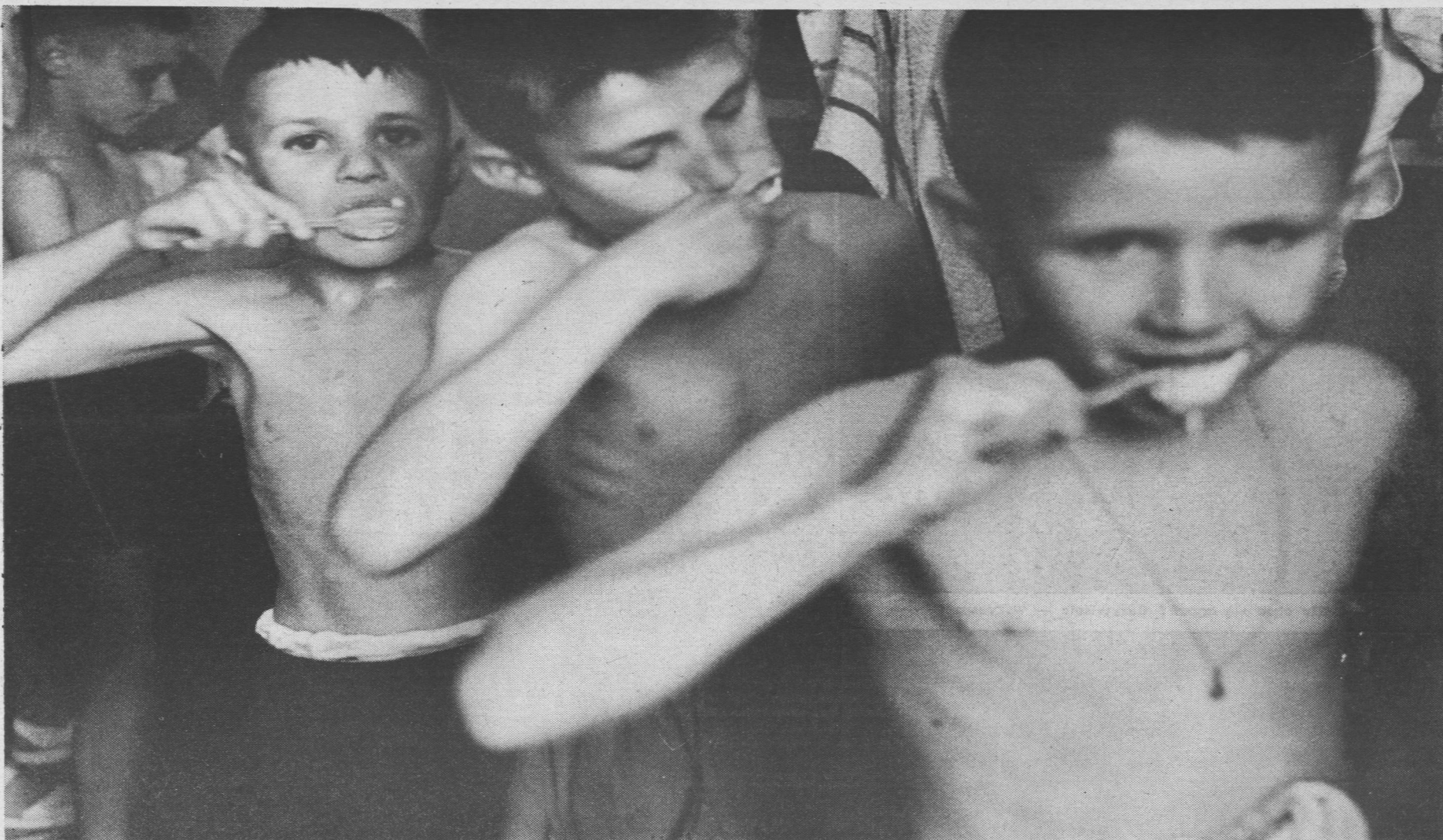
Ulica i numer domu _____

Departament _____

PRENUMERATĘ NA OKRES:

3-miesięczny 400 fr.
6-miesięczny 700 fr.
roczny 1.300 fr.

WYPEŁNIĆ I PRZESŁAĆ:
„Tygodnik Polski”, 23, rue Taitbout, Paris (9)



Proszę o przyjemny wyraz twarzy — powiedział nasz fotograf W. Sławny — i wszyscy się uśmiechali, nawet przy myciu zębów...

MIGAWKI Z KOLONII
W ONIVAL

NIECH ŻYJE PLAŻA



...żeby tylko piłka nie poleciała do wody.

BIAŁE, roztańczone fale podchodzą coraz bliżej i bliżej. Jeszcze chwila, a uderzą z pluskiem o rozgrzaną plażę, gdzie już czekają na nie setki opalonych nóżek dziecięcych, które podskakują niecierpliwie na śliskich kamykach wybrzeża. Chlup! Nareszcie można się zanurzyć w musującej pianie, można opryskać słoń wzdłuż siebie i kolegów i z pluskiem skoczyć z morza na brzeg i z brzegu do morza. Po to tu właśnie przyplęnęło, aby dzieciom sprawić uciechę, aby zachłyśnięty się świeżą, chłodną falą i słonym oddechem wiatru.

Ej, gdyby tak można popłynąć daleko, aż tam, do tych łodzi rybackich połyskujących w słońcu! Niestety, wychowawcy nie pozwalają. Przyganiają dzieci w pobliże brzegów jak rozbrykane owce. Wolno tylko porcięta zanurzyć do pasa, a dalej, gdzie głębia, ostrożnie. Dostępu nie ma. Ale to nic. I w płytkiej wodzie można skakać i brykać, nogasami wywijając, i piwając i piszczeć co sił w płucach.

— *Tiens, les enfants polonais, comme ils amusent bien!*

Wszyscy już bowiem na plaży w Onival znają dzieci z polskiej kolonii. Dwa duże domy z czerwonej cegły wznoszą się tuż ponad morzem, a na wysokim maszcie powiewa polski i francuski sztandar. Pod tym sztandarem codziennie rano gromadzi się sto trzydzieści dzieciaków, witając piosenką nowy dzień na kolonii. A ten dzień wygląda tak: Śniadanie i zabawa, plaża i morze, obiad i siesta, taniec i piosenka, koziołki po trawie (będzie potem mama musiała wszystkie majteczki latać), i znów plaża, spacer, gry, pogadanki, mycie (jedyna czynność której dzieci nie lubią), podwieczorek, kolacja i spanie.

Tyle tego, a dzień taki krótki! Dzieci chciałyby go schwytać i przytrzymać, jak te błyszczące rybki migające w morzu, ale prześlizgują im się w palcach. Nim się obejrzały, a już tydzień minął odkąd przybyły tu z Nordu, z Pas de Calais i z Alzacji. Jak daleko stąd teraz do ich osiedli górniczych, jak daleko do taty i mamy...

A mama, gdzieś tam w Mericourt, czy w Lens, czy w Uckanges, może sobie wzdychać i myśleć:

— Co tam moje dziecko porabia? Pewnie biedactwo tęskni...

Gdzie tam! Zadne nie tęskni. Ani te najmniejsze, które się zawsze matczynej spódnicy trzymały, ani te, co plakały na dworcu, bo pierwszy raz wyjeżdżały z domu. Zapomniały o leżkach jak o wczorajszym deszczu. Teraz im tylko zabawa w

głowie i koledzy i kąpiel w morzu i psoty. I nie trzeba im powtarzać jak w domu: „Jasiu, a zjedz chlebka”. „Marysiu, a napij się mleka”. „D. nuelle, czemu zostawiłaś zupe?”

Nie. Jedzą teraz same aż im się uszy trzęsą. 60 wielkich chlebów, 70 litrów mleka, 8 kilo masła, 20 kilo mięsa i masa innych różności przewala się codziennie przez kolonijną kuchnię. Wszystko co tak szybko znika z talerzy, że dzielne kucharki ledwo mogą nadążyć. I buzie się nie zamykają. Albo jedzą, albo paplą. A najczęściej, jedno i drugie na raz.

Ale mimo zabaw i zajęć, dzieci nie zapominają o domu. Kiedy kierowniczka — przemiała pani Hunebelle — przychodzi obciążona pocztą, rzucają się na nią wszyscy. Są listy! Od mamy, od taty, od cici, od babci. Otrzymywanie listów to jeden z najmielszych momentów dnia. A potem dzieci odpisują, szkrabiąc na papierze tem dzieci odpisują, szkrabiąc na papierze

„Kochana mamo, mnie tu bardzo wesoło, a czy Burek nie uciekł z domu, mnie zrobili fotografię to posłę czy babcia już zdrowa i mam kolegę co się z nim bawię je t'embrasse

Albert”.

„Kochany tato i mamo ta kartka co wam przysyłam kosztuje 50 franków. My chodzimy na plażę uczyć się pływać i polknęłam jedną tasse stonej wody. Bawię się bardzo dobrze i żeby mama do mnie trochę przyjechała to by mama widziała i tato. Teresa”.

„Kochana mamo i ciciu, ja do was piszę jestem wilczek. Do nasza kolonia przewala się młody las a każda nasza grupa to lesne zwierzęta i owoce dzwyczynki są maliny albo coś innego a chłopcy jelenie, lisy, orleńta a ja jestem wilczek. Wychowawcy są dobre i wesote i razem hecujemy a ja was całuje sto razy Józio”.

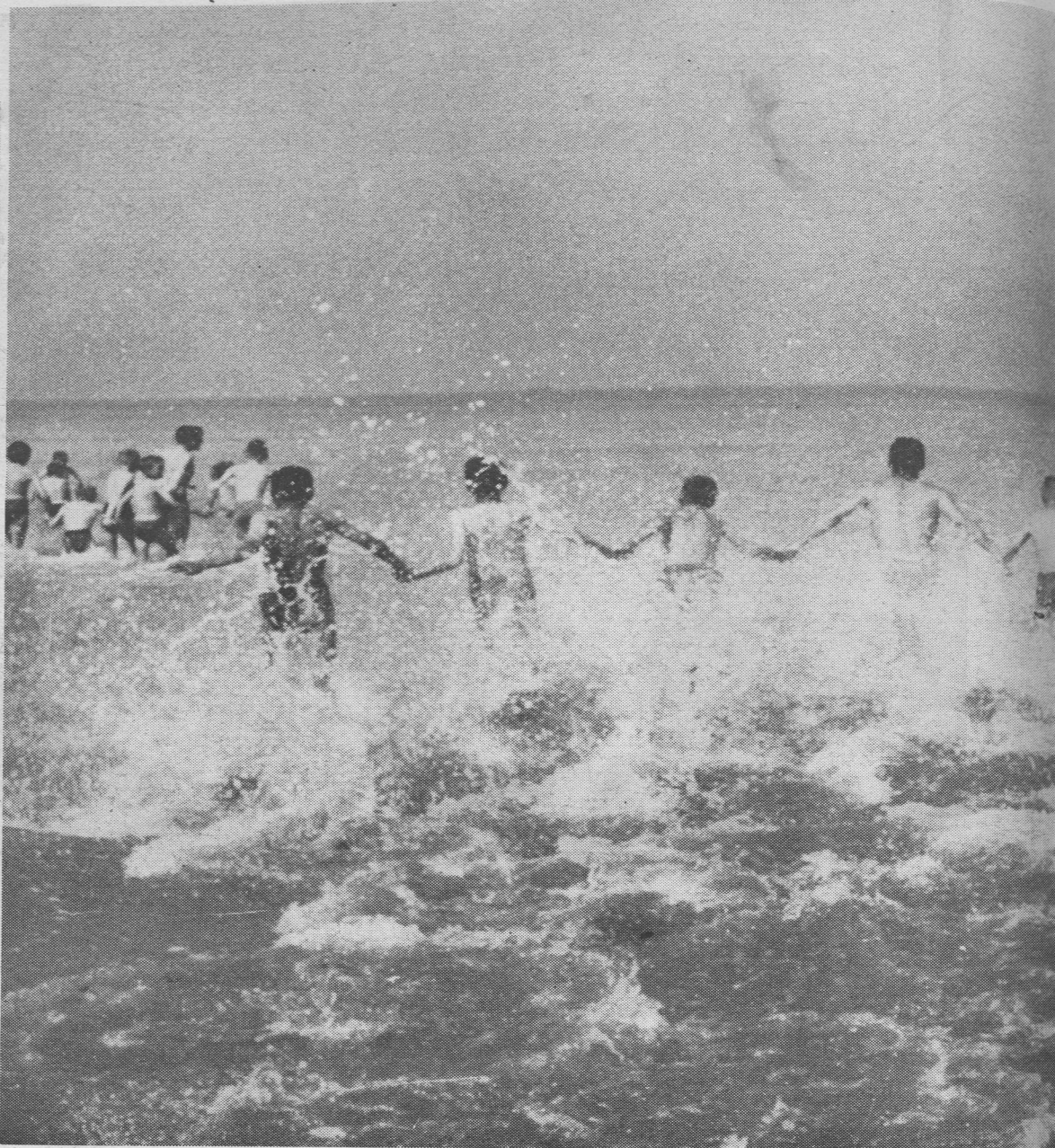
W listach tych tyle jest błędów ile kamyczków na plaży w Onival. Ale każda matka i ojciec przeczytają je co najmniej ze dwadzieścia razy i oczy obetrą ze wzruszeniem. Bo w tych krzywych, niezgrabnych literkach i prostych słowach odnajdą naiwne serce swego dziecka i jego uśmiech, do którego tęsknią.

I wraz z każdym z tych listów dziecięcych, do zadymionego osiedla górniczego zawita trochę pogody, skrawek błękitnego nieba i odbłask morskiej plaży nad brzegiem Onivalu.

NIECH ŻYJE PLAŻA



Kto chce się kąpać? Oczywiście — wszyscy.



Uwaga! Wysoka fala!... trzeba się trzy



„Przegląd majtek” — czy całe i czyste.



„Koci, koci łapki” — nawet u tak dorosłych pańienek ta zabawa cieszy się powodzeniem.



Brawurowy wyścig, kto pierwszy wskoczy do wody.



Anetka Kulińska obchodziła na kolonii swe uro



mać za ręce.



Na brak apetytu oi panowie nie mogą narzekać.



ziny.



O czym by napisać w liście do Mamy?

SIEDZIMY u Fukiera, tuż obok wielkiego okna z widokiem okna z widokiem na rynek. Kiedy przed godziną przechodziłem obok winiarni, przez to właśnie okno zauważyłem rozłożystą czuprynę Józefa A. Po chwili podzieliłem się nowiną z mieszkającym w pobliżu Tadeuszem B., który, chociaż znany z gościnności, zaczął się wiercić i zaproponował mi małą przechadzkę dla zacerpnienia powietrza. Przystałem chętnie, obaj zapomniałszy zresztą o właściwym celu mojej wizyty. Jeśli mnie pamięć nie myli, miałem być oficjalnie powiadomiony o dacie ślubu gospodarza i zaproszony na świadka. Józef powitał nas gębą uśmiechniętą od ucha do ucha. Nie był sam, towarzyszący mu S. i L. spojrzeli po sobie, S. zapytał rzeczowo: białe czy czerwone, L. wstał, podszedł do baru i powiedział z westchnieniem: jeszcze jedna butelka Egri Burgundi. W winiarni było pusto, oprócz nas siedziała w kącie jakaś para stara i nie ubrana, rozmawiająca półgłosem. Po pewnym czasie zauważyłem, że on i ona przypatrują się nam z uwagą. Przypisałem to niestępczej gębie A., który chętnie sypał perełkami gwary powiślańskiej i udzielnie panował nad towarzyskimi zgromadzeniami. Było niemożliwością, żeby nie słyszeł jego wynurzeń. Kelnerka przyjmowała je życzliwie, oni byli raczej zdumieni, trochę zgorzeleni. — Sąsiedzi nasi spotykają się może po raz pierwszy i należy im się nastrojów delikatniejszy — szepnąłem Józefowi A. — Trudno — odrzekł rzucając na nich szybkie spojrzenie. Mówił jednak o wiele ciszej, a przynajmniej starał się o to. Jego namiętny szepł królował w winiarni w sposób niemiernie wszechwładny, zmuszał tych z drugiego końca izby do mimowolnego wyłączenia słuchu i opuścili nas niebawem bez żalu.

Jesteśmy więc tutaj jedynymi klientami. Józef A. przechodził z szepotu na normalny głębokobaryton, lekko zachrypnięty. Opowiadał sobie dyrdymalki, każdy ze swojej specjalności.

— Nie masz się czego denerwować, Penonka — mówi S. — Każdy ma swojego Milka. Mój nazywa się Rudzielec i możesz mnie dosyć długo pytać, co mam robić z Rudzielcem. Wiesz, ile lat się z nim znamy? Piętnaście. Zdażyliśmy przez ten czas to i owo przeżyć, a zaczyna się to nasze wspólne przeżywanie od wojennych postojów. Obydwaj zbieraliśmy w owe lata pamiętki i wspominki i nosiło nas wtedy po wielu miejscach, bez których na pewno moglibyśmy się byli obejść. Rudzielec stał po nich jak dziecko po linie, nie było sytuacji, w której nie podnosiłby na mnie z uśmiechem swoich niepojęcie ufnych oczu. Zobowiązywało to niesłychanie, musiałem być przy nim bez zarzutu, czysty jak łąka, w męczącej roli Rolanda skrzyżowanego z gołębicą.

Zaproponowałem mu kiedyś na Bliskim Wschodzie, żeby wybrać się razem do perskiego Kurdystanu. Pod kurdyjskim miastem K. znajduje się historyczny kamień Dariusza, postawiony tam podczas przemarszu wojsk perskiego satrapy. Wprawdzie do K. trzeba było podróżować samochodem trzy dni. Jeśli jednak pojedziemy — rozumowałem — zobaczymy kamień. Z Polski będzie dalek.

Rudzielec zgodził się od razu. Kiedy okazało się, że samochody pułkowe będą zajęte i że wobec zmiany miejsca postoju możemy opuścić oddział najwyżej na tydzień, byłem gotów zrezygnować z przedsięwzięcia. Ale Rudzielec dobrze zapamiętał, co mu powiedziałem i spoglądał na mnie swoimi zdziwionymi oczami lalki. Tydzień? Świętnie. Trzy dni w jedną stronę, trzy dni w drugą, na miejscu jeden dzień, dobre i to, a z Polski będzie dalek. Nie ma samochodu? Nie szkodzi. Dojedziemy po cięgiem do Q., a stamtąd powiezie nas pierwszy zatrzymany samochód wojskowy. Przenocujemy w K. i nazajutrz rozpoczniemy powrotną drogę. Czy mogłem odpowiedzieć na to, że panuje tropikalny upał, że zjedzą nas komary i wreszcie, że nie mam ochoty ruszać w niepewną podróż w takiej jak ta temperaturze, z perspektywą jednego tylko dnia pobytu w K. i sześciu dni jazdy w dusznych przedziałach, pod rozgrzanymi, brezentowymi budami gorących od słońca ciężarówek, w pustynnym pyłe i kurzu, którego nie będzie kiedy i gdzie splukać z umęczonej twarzy? Oczywiście, mogłem tak Rudzielcowi odpowiedzieć, ale nie odpowiedziałem. Kiedyś ojciec obiecał mi kino i zapomniał o tym. Siedziałem wtedy w kącie za szafą i rozpaczałem, jak rozpaczają może rozczarowany sześciolatek. Było to coś podobnego, z tym, że ja występowałem teraz w roli ojca i obawiałem się rozpaczę tego byczyska, Rudzielca, który nie był wcale młodszy ode mnie. Ale to ja obiecałem mu kino. Pojechaliśmy.

Podróż to była męcząca i brudna, a poza tym przybyliśmy do K. w najgorszą godzinę, kiedy powaśnione szczerpy miejscowe staczały ze sobą formalną wojnę. Jadąc nic o tym nie wiedzieliśmy, na miejscu za to dowiedzieliśmy się od razu. Zdumiała mnie grupa ewakuujących na koniach jeźdźców, zaalarmowały odgłosy

strzelaniny. Rudzielec nie przestawał się uśmiechać i nie zdziwiłem się, kiedy zapytałem go, czy to polowanie. Ten pogodny bydlak siedział już w kinie i lizał cukierki. Fakt, że film będzie kowbojski, uważał widać za zdarzenie najzupełniej normalne.

— Polowanie? — powtórzył, kiedy gruchnęła jakaś niedaleka salwa.

— Na wróble polują? — powiedziałem ze złością i zawstydzilem się wyczuwając jego pytające spojrzenie. Pojął wreszcie, co się tu dzieje, zwłaszcza, że przyszło nam zaraz wyminąć leżącego człowieka, który zdecydowanie nie żył. Na wycofanie się z miasta było mimo wszystko za późno, na szosę pod K. podrzuciła nas hinduska kolumna samochodowa, znajdowała się teraz daleko. Posuwała się zresztą na wschód, w stronę gdzie nie stacjonowały polskie oddziały.

— A kamień Dariusza? — upominał się Rudzielec. Oczywiście, było to logiczne. Zdecydowaliśmy jednak udać się dopiero jutro rano w podmiejskie wawozy, gdzie znajdował się historyczny zabytek, cel naszej podróży. Była późna godzina popołudniowa. Przed zmierzchem powinniśmy byli wyszukać sobie jakiś nocleg w mieście. Z sąsiednich uliczek dobiegały okrzyki zdenerwowanych ludzi, z daleka dochodził nas miarowy odgłos nieustannie bijącego bębna. Znajdowaliśmy się na ulicy centralnej, jedynej szerokiej ulicy miasta. Trzymaliśmy się jej, przecznice były wązkie, na rozmiar jednego wielbiada. Stały na tych przecznicach domki otoczone glinianymi płotami, bramy w płotach zawieszane były dywanami bardzo pięknymi, ale pobudzającymi wyobraźnię do budowania wizji dosyć niepokojących. Nie dotyczyło to jednak Rudzielca.

— Polakom nic tu grozić nie może — oznajmił po chwili, szeroko otwierając niebieskie ślipki. Zakładał, że każdy Kurd odczyta ów niewielki napis *Poland*, jaki nosiłyśmy na ramieniu, i odczytawszy ofiaruje nam pierścionek z brylancikiem oraz

blągalnie oznajmił: Lechistan. Okazało się wszakże, iż należy powiedzieć po prostu *Poland* albo *Pologne*. Tak sformułowana odpowiedź sprawiła Kurdowi widoczną przyjemność, przywołał nawet chudego chłopaczka i kazał mu zaprowadzić nas do hotelu. Kiedy żegnaliśmy się z Kurdem, Rudzielec objawił nagle duże zainteresowanie dla sklepu i kupił buraczkowo-szare szelki za dość wysoką cenę.

— Po co ci te szelki? — zapytałem w dalszej drodze. — Przecież nie nosisz szelk.

Rudzielec popatrzył niespokojnie. — Mogą się przydać — powiedział niepewnie. — Ten Kurd był bardzo sympatyczny, nie uważasz?

Musiał być i rozmowny, gdyż towarzyszącą nam grupą znikła. Rudzielec uśmiechnął się i zaczął mnie przekonywać, że gdyby nie orzełki, przesładowcy kroczyliby za nami dalej. Anglicy albo Francuzi mogliby nie wyjść z tego cało, ale z nami inna sprawa. Nie mamy kolonii i jesteśmy ryccerscy.

Z daleka bębny były bez przerwy, znowu słychać było pojedyncze wystrzały karabinowe, idący przed nami chłopiec odwrócił do nas śmiało, wystraszoną twarzą i zamrugał oczami. Rudzielec pogrzał w kieszeniach, znalazł miętelec cukierki i dał je chłopcu, ale nie zadowolilo go to zapewne, gdyż znowu zaczął grzebać. Miałem na szczęście tabliczkę czekolady, zaprzestał więc tych nerwowych poszukiwań i rozpromienił się w jednej chwili.

W połowie drogi przykuła nasza uwaga tablica z angielskim napisem *Kościół rzymsko-katolicki* i strzałką wskazującą kierunek. Poszliśmy w owym kierunku, chłopiec zaczekał na nas przed wejściem, my zaś wstąpiliśmy do kurdyjskiego kościoła i Rudzielec pociągnął mnie zaraz za rękaw. Nad głównym ołtarzem znajdował się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

— Dobry omen — powiedział cicho mój towarzysz. Opinii tej nie zmienił oczywiście

Artur MIĘDZYRZECKI

WIECZÓR u FUKIERA

(Fragment)

zapropnuje gościnę i najpiękniejszą córkę za żonę.

— Masz zupełną słusność — powiedziałem. — A tamci za nami — dorzuciłem niedbale — domyślasz się może, czego od nas chcą.

Odwrócił się wtedy i dojrzał nareszcie grupę ludzi, którzy towarzyszyli nam od pierwszej chwili, ledwo tylko pokazaliśmy się w mieście. Grupa składała się głównie z wyrostków, ale byli w niej i dorośli. Szli za nami krok w krok, w odległości około pięćdziesięciu metrów. Kiedy przystawaliśmy, zatrzymywali się również i patrzyli na nas w milczeniu. Kiedy ruszaliśmy, bez słowa ruszali i oni, zachowując tę samą, ulubioną widać, odległość pięćdziesięciu metrów.

— Tamci? — zwrócił się do mnie Rudzielec — no cóż, idą, bo ciekawi są, co nas tu sprowadza. Jest to zrozumiałe, w promieniu pięćdziesięciu kilometrów nie ma podobno żadnego wojska i nie licząc hinduskich kierowców nie widzieliśmy już od kilku godzin ani jednego żołnierza.

Była to skądinąd święta prawda. Zbrojna waśń pomiędzy szczerpami nie zdawała się niepokoić angielskiego dowództwa, rzymska zasada *dział i rząd* pasowała tu jak ulał. Nie mogło też ulegać wątpliwości, że Rudzielcowi i mnie przypadł w udziale obowiązek reprezentowania sił alianckich w tej części gorzszego Kurdystanu, obowiązek równie zaszczytny, jak uciążliwy.

— Może damy im na pamiętkę orzełka? — zamyślił się Rudzielec. Powiemy: Lechistan, damy orzełka, napewno zrozumieją.

Zagadnąłem o hotel stojącego na ulicy właściciela sklepu. Ucieszyliśmy się jego odpowiedzią. Pokazywał ręką, tłumaczył z pomocą kilku słów angielskich i francuskich: *gauche, left, en avant, right, left*. Zapytał nas o narodowość. Rudzielec zakręcił oczkami i pokazał orzełka na czapce, ale Kurd pytał dalej, więc Rudzielec zdjął czapkę, podetknął mu orzełka pod nos i

ście, kiedy po kilku następnych minutach znaleźliśmy już dzieje obrazu. Polski kapelan przesłał go miejscowemu księdzu wraz z podziękowaniem za pośmiertne usługi oddane trzem polskim żołnierzom. Zadzgał na ich na pobliskich ulicach, w mieście, do którego mieliśmy zaszczyt przybyć. Zegnając się z kurdyjskim księdzem, Rudzielec wyraził przypuszczenie, że wzięto ich za Anglików i na ulicy poprawił swego orzełka. Szliśmy znowu za chłopcem, który doprowadził nas niebawem do dwupiętrowego budynku z rozległą oszkloną werandą. Gospodynią była niemłoda Greczynka i rozmawialiśmy z nią po francusku. Po chwili otworzyły się nagle drzwi z przyległego pokoju i wpadło na nas kilkunastu wykrzykujących tubylców. Myny mieli groźne, a szybkość, z jaką nas obstąpili, i podniecone ich głosy nie wrożyły nic dobrego. Odeszli jednak równie szybko, zamienivszy kilka słów z właścicielką. Zachwycony Rudzielec oznajmił mi, że początkowo wzięli nas za kogo innego.

Prosta i patriotyczna jednocześnie koncepcja Rudzielca nie ulegała wahaniom. Ciesząc się musielismy sympatią na całym świecie z wyjątkiem Prus, wszędzie indziej zginąć mogliśmy jedynie wskutek omyłki.

W nocy pogryzły nas do krwi komary, które brzęczały również pod moskitierami. Rano obejrzelismy kamień Dariusza i rozpoczęliśmy podróż powrotną. Podwoziły nas zatrzymywane samochody, wróciliśmy chory na popataczki, zacięły mnie widać w drodze muchy skalne roznoszące tę chorobę. Miałem wysoką gorączkę i trzęsło mnie jak w febrze, po wyzdrowieniu kilkanaście dni trwała apatia, było okropnie i nic nie chciało mi się robić.

Rudzielec odwiedzał mnie codziennie, mówił cichutko i pragnął okazać mi wdzięczność za zaprowadzenie go do kina tak niezwykłego. Kiedy zakończyłem rekonwalescencję, przekonałem się, co zdążył naopowiadać w pułku o naszej wy-

cieczce. Zaludnił wyobraźnię słuchających ryccerskimi kurdyjskimi starcami, którzy, na dźwięk słowa Lechistan, płacząc ze wzruszenia powstają na równe nogi i biorą przybysza w objęcia. Grecki hotel w K. urosł do rangi gniazda górskiego, gdzie gromadzą się dzielni wojownicy pod wodzą tamtejszego Janosika. Konie, których dośiadali kurdyjscy jeźdźcy, były doprawdy piękne, ale w bogate siodła przetykane złotem zaopatrzył je na własną rękę Rudzielec. Okulbaczył je w sposób wspaniały i położył także trupem podstępnego naczelnika szczerpu, który rozpoczął bratobójczą walkę. Rudzielec wreszcie ustanowił kult Matki Boskiej Częstochowskiej w całym Kurdystanie i ani jeden żołnierz w naszym wojsku nie żywił wkrótce żadnych w tym względzie wątpliwości. Kto zaś przyjdzie do wniosku, że Rudzielec jest fantazją lub kłamcą, pomylili się i skrzywdzi Rudzielca. Tak to po prostu widział, a poza tym miał zwyczaj dobrze mówić o pojedynczych ludziach oraz o większych ich skupiskach i terytoriach, które zamieszkuje.

— O tym powojennym egipskim miesiącu nie będę wam opowiadał, zajęłoby to wiele czasu, a niedługo trzeba nam będzie stąd wychodzić. Ostatnie dni urlopu spędziliśmy w Kairze, któregoś przedpołudnia pojechaliśmy pociągami do małej stacji T. i pieszo udaliśmy się w okolicę, gdzie stacjonowały niegdyś nasze oddziały. Nigdy bym tam nie wracał, gdyby nie Rudzielec. Jak to? — mówił — nie rzucić okiem na miejsce, gdzie spędziliśmy kawał życia? Jak to? Pamiętaj, jak obchodziliśmy tam wilię? A te wieczerzy po Tobruku? A powroty z Aleksandrii i w ogóle wszystko?

Minęliśmy Zagazik, wysiedliśmy w T. Po kilku kilometrach wędrowki szosą roztoczył się przed nami przynębiający widok opuszczenia. Pustynia zarzucona była po obu stronach papierami, rozdartymi pudłami z tektury, strzępami gazet i wszelakim śmieciem. Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie dziesiątki sprawnych dywizji oczekiwaly niegdyś godziny inwazji na południową Europę. Był to wówczas pustynny kocioł kipiący różnorodnym wojskowym życiem. Weterani kampanii libijskiej witali tu przybyszów ze wszystkich części świata, na szosie panował gorączkowy ruch pojazdów, po horyzont ciągnęły się białe i szare miasta brezentowych namiotów. Tysiące kolorowych znaków na tablicach obok drogi wskazywały na miejsce postoju zgrupowań, korpusów, dywizji i pułków, żołnierze w tropikalnych hełmach oblegali wojskowe sklepy i stragany wędrownych kramarzy, od rana grały trąbki w obozach wojska i wielkie płaskie przestrzenie zaludniały się maszerującymi oddziałami.

Szliśmy tą samą asfaltową szosą, prowadzącą nad Kanał Sueski. Nie minął nas żaden pojazd i ani jeden przechodzień. Raz tylko, o kilkadziesiąt metrów od nas, dostrzegłem białego burnusa człowieka, który szukał czegoś w tym rozległym poobozowym śmietnisku, może pozostawionych tu blaszanek na suchary. Jedna taka blaszanka blaskiała pod ramieniem tego człowieka; w pobliżu miejsca, gdzie stał, słońce odbijało się od kilku podobnie lśniących przedmiotów. Tuż obok nich czerniał barak pokryty papą, dawna pułkowa kuchnia. Idąc minęliśmy kilka takich baraków, o kilometr lub więcej od drogi. W przypoitym od nich odstępie stała zwykła buda z jasnego drzewa, pułkowa latryna. Baraki po dawnych kantynach zdarzały się rzadziej, były za to rozległe, wielkie i tym bardziej opuszczone. Wyjęto z nich szyby okienne, czarne otwory wionęły zapomnieniem i rezygnacją.

— Niepotrzebny przyjadł — powiedziałem. — Nie takie dobra zasypywał tutaj szczyt piasek, a tych nie ma powodu żałować.

— Masz rację — mówił Rudzielec. — Ale zostawiliśmy tu kawał serca, nie uważasz?

— Żołnierze, którzy przeżyli i są już w domu, wymieliby nas.

— Nie wszyscy niestety przeżyli.

— Nic im nie pomożesz.

— Wiem — powiedział Rudzielec. — Nigdy tu już nie wrócę.

Szliśmy teraz z powrotem do T. Krążyły nad nami wielkie sępy, te same, które towarzyszyły nam we wszystkich pustynnych okolicach. Przez pęki drutów telegraficznych ciągnących się wzdłuż szosy widziałem je ciągle nad nami. Szybowały wolno, wyprzedzały nas nieco i zwracały, wydawało się, że zniżają lot.

GŁOS MA MICHALINKA

DROBIAZGI, KTÓRE ZDOBIA

« S O L D Y »

Nic tyle nie kosztuje ile tak zwane tanie wyprzedaje. Na samo słowo „soldes” kobieta dostaje gorączki, w miejscu nie może usiedzieć, zaczyna ją gnać do magazynów. Wydaje się jej, że robi niezwykle oszczędności, jeśli kupi całą masę przedmiotów, których nie potrzebuje, ale które za to są tanie.

Wczoraj przybiegła do mnie Bożenka, cała zadyszana.

— Ubieraj się i chodź! Są soldy w wielkich magazynach.

— No to co?

— Jakto co? Kobiety od rana obiegają magazyn, a ty się nie ruszasz?

— Kiedy nie mam zamiaru nie kupię.

— Niemożliwe! Przecież sprzedają pół darmo. Chodź, zobacz.

Poszłam więc, wruszając ramionami, aby tylko zobaczyć. Oho, ja się na soldy nie dam nabrać. Mam dużo zimnej krwi...

Niemniej na widok podeksytowanych kobiet przed magazynem, ta zimna krew zaczęła się we mnie rozgrzewać. Przed poszczególnymi działami tworzyły się ogonki. Gdziekolwiek widzę ogonek, od razu muszę się doczepić.

— Co tu sprzedają?

— Rękawiczki soldowane. Po co mi rękawiczki? Ale zaczęłam się pchać razem z innymi. Rękawiczki były czerwone i żółte, staromodne. Nigdy bym ich nie włożyła. Wzięłam jednak jedną parę, aby się jej przypatrzeć. Nagle, stojąca obok kobieta wyrwała mi je z ręki.

— To moja para! Ja ją wybrałam pierwsza.

Gdy mi wyrwano rękawiczki, uczułam drapieżną ochotę, aby je nabyć. Zaczęłyśmy się kłócić i szarpać. Na szczęście na wierzchu leżała druga identycznie taka sama para, więc każda z nas chwyciła jedną. Z dzikim triumfem pobiegłam do kasy. Po drodze, pocąc się i przeciskając między tłumem ujrzałam stopy pasków gumowych. Kobiety przerzucały je chciwymi rękami. Wsadziłam tam i swoje. Ale taki pasek należałoby zmierzyć, czy dobrze leży. W soldach jednak nie ma czasu

ani o tym mowy. Trzeba szybko chwycić co jest... Chwyciłam więc. Gorączka zakupów zaczęła mnie ogarniać jak graczka w ruletkę.

Tłum się kierował teraz w stronę nylonowych halek. Zgubiłam Bożenkę z oczu, ale wszystko było nieważne, byleby tylko kupić halkę.

— Niech się pani tak nie pcha!

— To pani się pcha, nie ja.

— Ja tu byłam pierwsza. — To co? To może ja już nie mam prawa?

Sama możliwość, że mogłabym nie dostać się do halki napęchła mnie przerażeniem. Nadepnęłam na nogę sąsiadce, zgubiłam kapelus, rozdarłam pończochy, spociłam się jak mysz, ale dopięłam swego. Mam halkę. A te majtki, które sprzedają obok? A te staniki i kostiumy kąpielowe? Na nie szczęście miałam przy sobie otrzymaną pierwszą pensję. Gorączka soldowa uderzyła mi do głowy. Robiłam w myślach fantastyczne kalkulacje:

— Z tego, co zaoszczędzę na tych tanich zakupach, będę mogła wyjechać na wakacje. Żeby tylko mąż mi nie robił wyrzutów. Ale kupię mu także coś na soldach.

Kupiłam mu rzeczywiście parę skarpet. Nie szkodzi, że różowe. Za to tanie. Będzie uszczęśliwiony.

Wróciłam do domu obładowana i ledwo żywa. Wyłożyłam wszystkie skarby. Pasek okazał się za ciasny, a kostium za duży. Stanik w ogóle nie chciał się zapiąć. Rękawiczki obie były lewe. Mąż wcale nie był uszczęśliwiony mimo różowych skarpet. Na wakacje już chyba nie pojedę.

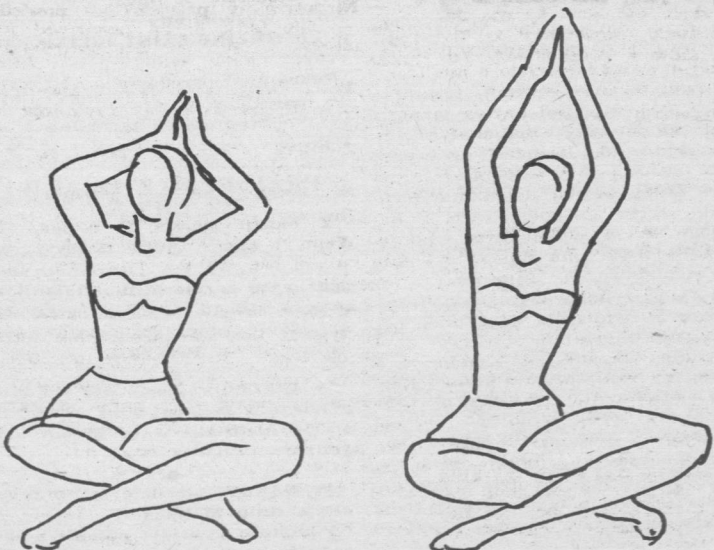
Jeśli ktoś z was usłyszy, że w pobliżu są jakieś soldy, proszę uprzejmie zaraz mnie o tym zawiadomić.

MICHALINKA

Trochę gimnastyki

SIADAMY PO TURECKU

Ręce luźno umieszczamy nad głową — szyja luźno. Ręce wznosimy nie pochylając pleców i podnosimy je jak najwyżej.



Apaszka, szalik, wstążka do włosów — oto drobiazgi, które dobrane w odpowiednio dobrą, ją kobiecie szyku i uzupełniają jej toaletę. Trzeba je tylko umieć zastosować i odnim kolorze dodać.

PŁOTECZKI O MODZIE

Ogromnie dużo mówiono na wiosnę o linii „trapez”, która zrobila sensację w świecie mody. Czy trapez się utrzymał i miał takie powodzenie, jak to przepowiadano? Otóż nie.

Wiele jest przyczyn tego niepowodzenia. Aby suknie trapezowa dobrze i zgrabnie leżała, musi być podbita podszewką i bardzo starannie wykończona. Na to potrzeba dobrej krawcowej a to kosztuje. Fabrykanci konfekcji nie mogą takich sukien sprzedawać tanio. To też tylko niewielkie kobiet może sobie na nie pozwolić i widzi się je rzadko. W praktyce więc „trapez” się nie przyjął.

Krótkie spódniczki. Lansując krótkie spódniczki w tym roku, wielkie salony krawieckie sądziły, że wszystkie kobiety od razu odstąpią swoje kolana. I pod tym względem również przepowiednie się nie spełniły. Owszem, prawie każda z nas skróciła sobie sukienki i spódnice (ileż z tym było roboty!), ale nie tak radykalnie, jak tego wymagała moda. Tym razem kobiety stawily jej opór i każda zastosowała modę indywidualnie do swojej sylwetki. Tylko manekiny noszą suknie z których wyglądają kolana.

Coraz częściej mówi się o powrocie w jesieni do wciętej linii. Z pośród sukienek sprzedawanych w tym roku w magazynach, największy sukces miały suknie podkreślające wyraźnie talię. Luźna linia nie cieszyła się powodzeniem zwłaszcza ignorowały ją kobiety młodsze. Jedynie jeśli chodzi o kostiumy, moda prostych zakrętków przyjęła się całowicie. Wcięte kostiumy wyglądają wyraźnie niemodne. Ale nie należy się tym martwić. Może już wkrótce wrócą spowrotem do łaski.

PALCE LIZAĆ

JAJA ZAPIEKANE W MUSZELKACH

Muszelkę posmarować masłem, wlać do niej jajko, posolić i posypać grubo tartym serem szwajcarskim. Następnie polewamy wszystko topionym masłem, zmieszonym z tartą bułeczką. Wstawiamy do piekarnika na 10 minut. Gdy białka się zetną a żółtka są miękkie, podajemy do stołu, posypując posiekaną zieloną pietruszką.

SMAŻONE RACUSZKI Z SERA

Trzy żółtka ucieramy z 20 gramami masła. Dodajemy do tej masy pół funta utartego, białego sera. Ubijamy pianę z trzech białek, mieszamy z masą serową, dosypując do niej łyżkę kartoflanej mąki. Formujemy nieduże kotleciki, które obtaczamy w mące i rzucamy na gorący tłuszcz. Smażymy na złoty kolor i podajemy na ciepło, polane odrobiną śmietany.

Rady od serca

Droga pani Anno! Wiem, że mój mąż ma przyjaciółkę. Trwa to już od kilku miesięcy. Udaję że nic o niczym nie wiem. Robię tak dlatego, ponieważ nie mogę mu nic zarzucić w jego stosunku do mnie i do dzieci. Okazuje mi wiele serca i czułości, wychodzi ze mną, gdy tylko ma czas. Daje mi wszystkie zarobione pieniądze. Jestem z nim bardzo szczęśliwa, ale świadomość, że istnieje inna kobieta w jego życiu nie daje mi spokoju. Całym wysiłkiem woli opanowuję się, by nie wypomnieć mu tej sprawy. Nie wiem czy robię dobrze, czy źle. Boję się, że jego zaczęło mu robić tak zwane sceny — po prostu odejdzie ode mnie. W oczach ludzkich jesteśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem, stawianym za przykład.

Wanda K.

Droga pani! Nie wiem skąd pani wie o tamtej kobiecie. Czy to pewność, czy po prostu kobieca intuicja? W każdym wypadku, myślę, że pani postępowanie jest słuszne. Sceny małżeńskie do niczego dobrego nie prowadzą. W małżeństwie są sytuacje, są kryzysy, które trzeba przetrwać i często właśnie spokój i opanowanie stają się najlepszym lekarstwem. Bardzo mało kobiet potrafi zdobyć się na wyrozumienie i cierpliwość. A w tych sprawach z reguły nie pomagają rozmowy, wyrzuty, ani łzy. Jeśli kobieta

ma dość sił i energii i jeśli stać ją na to, by być samodzielnym człowiekiem — może odejść. Ale jeśli jej zależność od męża jest całkowita — trzeba się czasem zdobyć na gest wyrozumiałości.

Jestem pewna, że w swojej sprawie potrafi pani wyjść zwycięsko. Tylko niech pani nie daje się ponieść nerwom.

ANNA

Wszystko do prania

Wystarczy nam dwie lub trzy lekkie sukienki, aby być dobrze ubraną przez całe wakacje. Większość bowiem materiałów, jakie się dziś nosi, łatwo się pierze i prasuje, tak, że można zawsze wyglądać świeżo.

Oto kilka wskazówek jak prać nasze letnie sukienki i szorty, bluzeczki itp.

1) Przed praniem, starajmy się usunąć mydem i letnią wodą piwną na sukience.

2) Nie czekajmy aż nasze rzeczy zbytnio się zbrudzą. Brud bowiem przenika w głąb materiałów i potem trudniej daje się usunąć. Pierzmy więc często, bo częste pranie mniej niszczy materiał niż późniejsze silne tarcie i szrotowanie.

3) Nie pierzmy na raz wszystkiego, o ile materiały nie są te same. Osobno sukienki kolorowe, osobno sweterki czy bieliznę.

4) Nie należy gromadzić na raz do prania sporo rzeczy. Pierzmy jedną lub dwie sukienki, to nas mniej zmęczy i pójdzie dużo szybciej.

5) Dbajmy, aby woda w której pierzemy nie była zbyt gorąca. Płuczmy następnie w zupełnie zimnej wodzie kilkakrotnie, aż będzie zupełnie czysta.

6) Nie wykręcajmy z wody wypranych sukienek. Wyciśnijmy je lekko w ręcznik lub serwetkę i powieśmy na wieszaku nad wanną lub miednicę. Prasować zaczniemy, gdy będą na wpół suche. Nie suszmy na słońcu, bo kolory mogą zblaknąć.

KLUB PRZYJACIÓŁ «Tygodnika Polskiego»

PRAGNĘ KORESPONDOWAĆ...

Wiadomość, że wprowadzamy na stałe rubrykę, dzięki której można będzie znaleźć przyjaciela we Francji, Belgii i w Polsce, ucieszyła naszych Czytelników i wielu z nich nadesłało już listy do Klubu Przyjaciół.

P. Stanisław HAŁYS, 18, Cite Flammarion, Athis-Mons (S.-et-O.). — Jest robotnikiem, interesuje się poezją i pragnąłby korespondować z Polakiem z północnej Francji, Anglii lub Ameryki. „Ale nie tylko o poezji — pisze p. Hałys — mógłbym dyskutować i na temat rodzin emigracyjnych oraz o wszystkim, co nas, Polaków, na wychodźstwie interesuje”. „Dlatego właśnie wstępuję do Klubu Przyjaciół T.P.”.

P. H. M. z Francji (nazwisko i adres podane redakcji, do redakcji więc proszę kierować listy) pragnie korespondować z młodą studentką, najchętniej z Polski, poważną, interesującą się muzyką, o ile możliwe — uczennicą konserwatorium lub była uczennicą. Jeśli będzie więcej zgłoszeń — p. H. M. odpowie na wszystkie.

P. Albert MAROSZEK, Radlin 1, ul. Powstańców Śląskich, powiat Wodzisław Śląski, jest zapalonym filatelistą i chciałby poprzez Klub Przyjaciół znaleźć filatelistę zaawansowanego w zbiorach, z którym mógłby prowadzić korespondencję i wymieniać znaczki.

P. Romuald MARCINKOWSKI, Włoszczowa, ul. Młynarska nr. 11. — Interesuje się turystyką, polityką, filatelistyką, zbiera zdjęcia, widokówki, płyty z muzyką jazzową. „Ale celem zasadniczym jest to, a bym znalazł wśród młodzieży francuskiej i belgijskiej wienych kolegów i dobre koleżanki. Bardzo bym się cieszył, gdyby grono młodych przyjaciół było jak największe”.

P. Herbert TEMP, „Grand-Hotel”, Sopot, woj. pomorskie. — Chciałby korespondować z osobą z Francji interesującą się sztuką aktorską, opracowywaniem scenariuszy do filmów, śpiewem, muzyką, kolarstwem, filatelistyką. P. Temp załączył do listu swą fotografię.

P. Wacław MIKSZA, Słupsk, ul. Dzierżyńskiego 30/5. — „I ja pragnąłbym należeć do Klubu Przyjaciół T. P. Interesuje mnie przede wszystkim filatelistyka, chciałbym wymieniać czasopisma, widokówki. Niecierpliwie czekam na listy!”

P. Aleksy BŁASZCZYŃSKI, Ostrów Wielkopolski, ul. Partyzanka 19/2. — Korespondowałby najchętniej z pracownikiem przemysłu drzewnego, fabrykacji steklej (dytki), ponieważ chciałbym wymieniać doświadczenia zawodowe.

Prosimy bardzo naszych Czytelników z Maubeuge, aby zechcieli się zainteresować listem p. Błaszczynskiego. Miasta Ostrów Wlkp. i Maubeuge mają podobno niedługo zawrzeć braterstwo, wobec tego Klub Przyjaciół pragnie wspomóc specjalnie mieszkańcom tych miast do nawiązania korespondencji i wymiany myśli, wersytetu Warszawskiego.

SPOTKANIE W METZU z uczestnikami wycieczki do Polski

NA wakacje do Polski wyjeżdża nie tylko prawie czterysta dzieci ze wszystkich stron Francji, zbierających się w Strasburgu, wyjeżdża również wielu dorosłych.

Przekonałem się o tym naocznie zarówno w północnej jak i we wschodniej Francji, jadąc przez Metz na spotkanie ze zjeżdżającą się do Strasburga dzieciarnią. Nie przypuszczałem, że w czasie tej samej podróży spotkam w Metz tylu dorosłych gotujących się do drogi.

Zgodnie z ogłoszeniem o dniach urzędowania (poniedziałki i piątki) Polskiej Agencji Konsularnej w Metz, należało przypuszczać, że dom przy ulicy Magny 7 w sobotę stoi pustką. Tymczasem okazało się coś wręcz przeciwnego.

Z trudem udało mi się wejść do przepelnionej poczekalni, gdzie masa osób coś załatwiała z obrzymem, który na zmianę po polsku i po francusku tłumaczył, wyjaśniał, uśmiechał się, uspakajał, coś wypisywał... Jednym słowem: „tego pana trzeba się zapytać co się tu dzieje”, pomyślałem. Podszedłem do niego i zapytałem: — Co to za tłok w dniu tak niezwykłym dla Agencji Konsularnej?

Pan Urbański z Hayange — on to bowiem okazał się tym informatorem, a zarazem organizatorem wycieczki do Polski — poinformował mnie, że obecni tu, to jedynie część uczestników 160-osobowej wycieczki ze wschodniej Francji, która wybiera się 1 sierpnia na miesiąc do Kraju. Jest to największa od lat wycieczka polonijna z Francji, w której biorą udział ludzie wszystkich poglądów i orientacji.

Jakby świadectwem tego, jest niestający ruch osób wchodzących do pokoju wicekonsula i wychodzących z polskim paszportem w ręku lub też z francuskim paszportem opatrzonym polską wiza. Konsulat specjalnie został otwarty dzisiaj dla tak licznych interesantów.

Wśród uczestników tej wycieczki (jak i wśród wielu innych wycieczek z całej Francji) znajdują się działacze i członkowie KTM, PSL, POWN, Sokola, Związku Byłych Wojskowych i Rezerwistów, Stowarzyszeń Katolickich, Stow. Sw. Barbary, Matek Różańcowych i innych.

Jakby dla ilustracji tych słów, poznaję pana Rokite, wiceprezesa 10-go okręgu PSL i prezesa Koła w Moyeuve-Grande; właśnie wychodzi do merostwa, aby załatwić sobie wizę francuską. Pan Urbański informuje go co ma robić dalej. „Szczęśliwej podróży” — obaj życzymy panu Rokicie.

Kto nie zna w Algrange, Nivange pana Zaremby, zasłużonego działacza kulturalnego, założyciela miejscowego teatru amatorskiego, który tyle sukcesów osiągnął w latach 1919-1939? Właśnie odebrał on paszporty dla siebie, żony i córki. Siedemnastoletnia De-

nise pierwszy raz w życiu zobaczy Polskę. Przy okazji gawędzimy też chwilę o perspektywach wznowienia działalności teatru amatorskiego. „Możliwość może by była, ale do tego trzeba by wielkich wysiłków no i zgody wśród Polaków, bo inaczej to nic nie wyjdzie. I tak jest trudno teraz coś zdziałać z naszą młodzieżą...” mówi pan Zarembo.

„...Młodzież nasza jest pierwszorzędną — wpada mu w słowa pan Urbański (od 14-go roku życia zapalony harcerz). — Popatrzcie na przykład na Sokola w Nivange, gdzie dzięki braciom Muszyńskim 50-ciu młodych bierze udział w ćwiczeniach i imprezach Sokola!”

Mijają minuty i godziny. Spotykam coraz to nowych Polaków i rozmawiamy o najróżniejszych sprawach. Słucham jak sobie ludzie wzajemnie odpowiadają i wyjaśniają wątpliwości. Pani Nowakowa drugi już rok z rzędu jedzie z wycieczką; tym razem z 10-letnim wnuczkami Rogerem. „Pani! Już na granicy przyjmowali nas jak w rodzinie”, mówi do sąsiadki, zapytującej jak to było na granicy.

Sama jednak zapomniiała wypełnić przekaz pocztowy z zapłatą za paszport i teraz musi się nadać pieniądze na pocztę w Metz. Bardzo się tym zmartwiła. Znalazł się jednak młody uprzejmy Francuz, zięć pana Antczaka, i załatwił jej ten przekaz w ciągu pół godziny.

Tymczasem poznaję jego teścia. Pan Piotr Antczak pochodzi z Koina i po 32 latach pierwszy raz jedzie z żoną i córką do kraju. „Chodź tu, Ola” — woła do 15-letniej Rolande. — „Oui, papa” — podchodzi czarująca dziewczynka. Wszystkie rozumie po polsku, ale łatwiej jej mówić po francusku. Zegnamy się tradycyjnym już: — szczęśliwej podróży!

I tak rozmawiam z panią Gandecką, panem Stanisławem Kasprakiem, działaczem teatru amatorskiego z Hayange, panem Swiderskim, panią Barbarą Cichonką z Crehange, panią Zofią Górską z Morfontaine, p. Apolonią Maniszewską z Longlville, p. Józefą Druż z Nivange, p. Kordzińską z Moyeuve Grande i p. Aleksandrem Sawiczem.

Pani Gas pochodzi z Sosnowca, a od 13-tu lat jako jedyna Polka jest operatorką dźwigu w fabryce Mont-St-Martin w Longwy. Ta dzielna niewiasta wychowała już dzieci, teraz zajmuje się wnuczkami (!) i jeszcze ma czas, aby pomóc rodakom gdy się do niej zwrócą w potrzebie. Teraz chce podjąć paszport dla swoich sąsiadów, państwa Maćkarzów. Tak samo uczynne są zresztą inne rodaczki, chociażby pani Górka czy Maniszewska.

Powoli pustoszeje poczekalnia konsularna i sąsiednia kafejka, gdzie zawsze przesiadują rodacy przyjeżdżający do Metz. Jeszcze

uścisk dłoni i serdeczne życzenia udanej podróży składam seniorowi wycieczki 83-letniemu panu Józefowi Kacmarkowi z Moyeuve. 35 lat nie był w Polsce i jedzie do syna, gospodarującego pod Wrocławiem. Stary powstaniec wielkopolski trzyma się jeszcze bardzo dobrze. Jak twierdzi, to czasami nawet tylnie wino i zatańczy jeszcze. Będzie okazja ku temu!

Nie starczyłoby miejsca i czasu na opisanie 160 spotkań i rozmów z wyjeżdżającymi rodakami. A szkoda, bo opowiedziałbym:

— o pani Zaborskiej z Longlville i jej bracie, który jest „contremaitre” w Poznaniu;

— o przeżyciach reżysera sztuki pt. „Największy dramat” granej z powodzeniem przez tyle lat w polskich osiedlach wschodniej Francji;

— o tym jak młodzi Polacy ze

Stiring Wendel bronili Polski przed szkalowaniem;

— o tragicznych losach żołnierza II-ej dywizji Grenadierów Polskich spotkanego pod Metzem;

— o tym jak się niektórzy niepokoją „Co będzie z winem w Polsce...”

— o... o... o... Zresztą postaram się o tym w następnych numerach „Tygodnika” opowiedzieć.

Gdy wyjeżdżałem z wielogodzinnym opóźnieniem do Strasburga, utwierdziłem się w przeświadczeniu zdobytym w polskich osiedlach północnej Francji: „nie nie pomogą uchwały tych czy innych związków, a właściwie zarządów związków, a często prezesów tylko. Polacy mogą i chcą odwiedzić swój kraj. Nie ma takiej sity, która by mogła im w tym przeszkodzić”.

Jerzy MOND

MAŁA KRONIKA

WYCIEZKA POLSKIEJ MŁODZIEŻY KOMBATANCKIEJ W PARYŻU

W sobotę dnia 12 lipca przybyła do Paryża wycieczka nowo założonego przy ZUPRO Związku Polskiej Młodzieży Kombatantkiej, z przewodniczącym Danielem Poziemskim jako kierownikiem grupy. W czasie pobytu w Paryżu młodzi złożyli wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym oraz zwiedzili Paryż i okolice nadsekwajskiej stolicy.

Młodzież ta, dzieci Polaków, uczestników ruchu oporu we Francji postawiła sobie za cel utrzymanie i rozwijanie ducha polskiego i polskiej kultury młodego pokolenia we Francji, jak również pielęgnowanie najlepszych tradycji przyjaźni polsko-francuskiej.

Pragną oni rozwijać serdeczne, koleżeńskie stosunki między dziećmi uczestników ruchu oporu we Francji, organizować zabawy i spotkania towarzyskie, wycieczki, odczyty

Na pierwszym zebraniu PMK w Lille, wybrany został zarząd w skład którego weszli: Daniel Poziemski, Emil Marszałek, Genowefa Przybylska, Marta Poziemska, Monika Dunajska, Irena Marszałek, i Jan Marian Marszałek.

POLSKO-FRANCUSKA NIEDZIELA W LAMBRESART

W czasie festiwalu niedzielnego w dniu 6 lipca w Lambresart (Nord) Rada Miejska postanowiła urządzić na przyszły rok w pierwszej niedzielę lipca Festiwal Folkloru Polskiego połączonej z manifestacją przyjaźni polsko-francuskiej. Jak się dowiadujemy na decyzję Rady Miejskiej Lambresart wpłynęły udane występy polskich zespołów tańca przed poka-

zem filmu „Kanał” w kinie Ritz w Lille. Rada Miejska postanowiła również pokryć koszty związane z przyjazdem i wystąpieniem polskich zespołów folklorystycznych. (P.P.)

NOWA TRAGEDIA W MERICOURT

Nie przebrzmiały jeszcze echa tragedii na szybie 4/5, gdzie zginęło jedenastu górników, i znów w szybie 3/4 zginął polski górnik Stanisław PANCERZ, zabity przez gwałt, który urwał się ze stropu. Drugi górnik, Sebastian Gadka, ciężko ranny przewieziony został do szpitala do Fouquieres les Lens.

Ogólne poruszenie wywołał przy tym fakt, że St. Pancerz miał przejść na emeryturę od 1 września. Osierocił on pięcioro dzieci.

Ostatnio opuścił parafię w Rouvroy proboszcz ks. Olszewski udając się na stałe do Polski, gdzie pełnił będzie w dalszym ciągu obowiązki duszpasterskie. Na jego miejsce proboszczem w Rouvroy został ksiądz Grabas.

Na zakończenie roku szkolnego odbyły się popisy dzieci i liczne uroczystości szkolne w wielu miejscowościach Pas de Calais i Nordu. Szczególnie starannie i uroczysto wypadły popisy w Carvin przygotowane przez p. Janinę Sochę oraz w Mazingarbe, przygotowane przez p. Rzepczykową. Występy zespołu tańca „Warszawa” urozmaiciły tę udaną imprezę w Mazingarbe.

Zaproszeni przez Stowarzyszenie Kobiet Francuskich w Roubaix, przybyli do Roubaix chłopcy i dziewczęta z zespołu tańca z Guesnain, których występy na zabawie w parku miejskim Roubaix były entuzjastycznie oklaskiwane.

Również udana była zabawa zorganizowana w Guesnain przez ten sam zespół „Krakowiak”. Liczni goście tańczyli i bawili się aż do rana.

W niedzielę 20 lipca, o godz. 15 będzie wyświetlony w Ciné-Union w LA MOLINE-SAINT-JULIEN par Troyes (Aube) wielki polski film „Pokolenie” przedstawiający walkę młodzieży w czasie okupacji. W nadprogramie aktualności z Polski.

PRZYJĘCIA Z OKAZJI 22 LIPCA

Z okazji święta 22 Lipca, w dniu 21 bm. o godz. 18 do 20 w alach przy 74, rue Lauriston, odbędzie się przyjęcie dla Polonii z okręgu konsularnego paryskiego, urządzone przez Konsulat Generalny PRL w PARYŻU.

W LILLE przyjęcie dla Polonii z Nordu i Pas-de-Calais odbędzie się w niedzielę, dnia 20 bm. od godziny 16 do 19.

W NANCY odbędzie się przyjęcie w dniu 20 lipca w godzinach od 10.30 do 13.30 dla polonii z okręgu konsularnego Nancy-Metz.

USŁUGI PRAKTYCZNE «Tygodnika Polskiego»

DO CZEGO SŁUŻY ALGEBRA?

Panna B. CZARKA, Groupe Scolaire, Cite Notre-Dame de Waziers (Nord). — Proszę bardzo o wytłumaczenie mi co to znaczy Algebra i do czego służy. Jakiego zadania życiowego mogą być rozwiązywane przez działania algebraiczne?

Odpowiedź: Człowiek zawsze spotykał się z zagadnieniem ilości, wielkości i wzajemnych stosunków jakie między nimi zachodzą. Już w naszej wczesnej młodości spotykamy się z wymianą towarów itp. Wiele trudnych procesów chemicznych i fizycznych, służących dziś człowiekowi zostało wykorzystanych tylko w oparciu o matematykę. Matematyka jest to nauka ścisła, zajmująca się wielkościami, ich odzwierciedleniem w liczbach oraz związkami jakie

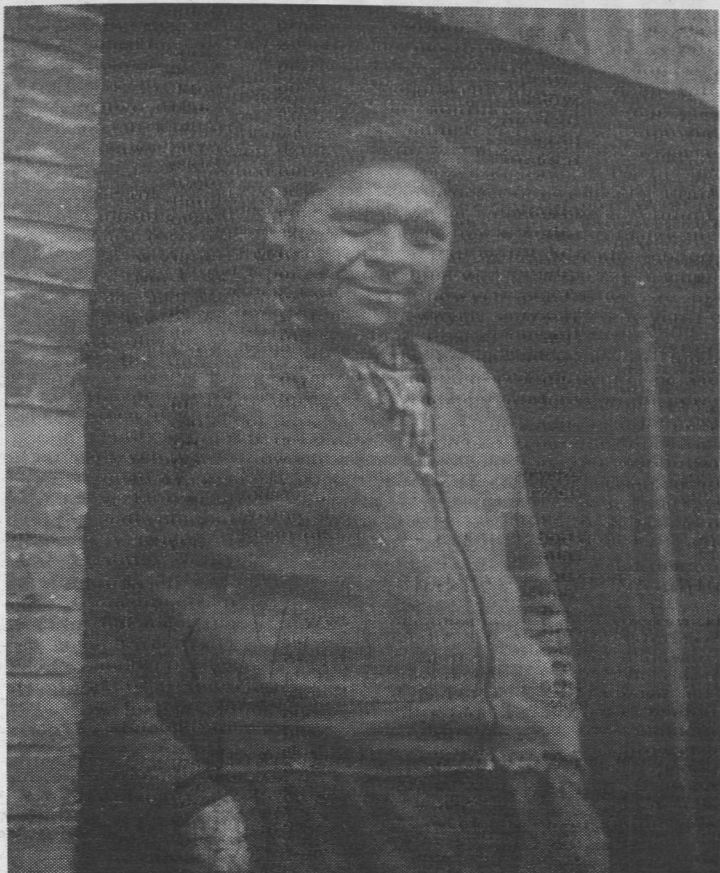
między nimi zachodzą. Dzieli się ona na analizę, obejmującą arytmetykę i algebrę — to jest naukę o liczbach i ich związkach — oraz na geometrię. Arytmetyka i geometria są pochodzenia greckiego. Po upadku Grecji i świata starożytnego ostatni uczeni greccy przemieszli zdobycze swej wiedzy na Bliski Wschód. W świecie arabskim, dokąd obok spadku po Babilończykach i Assyryjczykach dochodziły liczne wiadomości matematyczne z Indii, nauka grecka znalazła podatny grunt. Nic więc dziwnego, że uczeni arabscy skierowali matematykę na nowe tory, wprowadzając nowe pojęcia i nowe sposoby rachowania. Ich zasługą jest przede wszystkim wprowadzenie liczb ogólnych do matematyki, co dało podstawę pod późniejszy rozwój nowego działu matematyki zwany ALGEBRĄ.

Słowo to jest pochodzenia arabskiego, a mianowicie jeden z u-

czonych arabskich Mohammed Alchwarizmi (między 800-1000 naszej ery) wydał dzieło o metodach porządkowania równań, tytułując je Aldschebr. Stąd nazwa ta przeszła na cały świat matematyki, posługujący się liczbami ogólnymi. Do czego służy algebra? Algebra służy każdej dziedzinie techniki życia gospodarczego i naszego życia codziennego, ponieważ ułatwia ona nasze myślenie i rozumowanie, ujmując je w krótkie i zwięzłe wyrażenia literowe, zrozumiałe dla wszystkich bez długich objaśnień.

Jakiego zadania mogą być rozwiązywane przez algebrę? Każde zagadnienie, które się da ująć w liczby szczegółowe lub ogólne. Podręcznik szkolny daje dużo przykładów. Formułki ujęte w liczby spotyka się dziś wszędzie, gdzie chodzi o wyliczenie jakichś wartości liczbowych, bez długiego objaśnienia.

DWIE OJCZYZNY JANA ŻABOWSKIEGO



Jan Żabowski z Trieux.

Kiedy trzydzieści lat temu jako młody chłopiec jechałem do Francji spotkałem w tym samym pociągu większą grupę biedoty wiejskiej gdzieś spod Mławy i Sierpca. Nie chcę się rozwodzić nad tym, że nasza ówczesna Polska miała nadmiar rąk do pracy, podczas gdy Francja cierpiała na poważny niedobór ludzi w przemyśle i rolnictwie.

Przypomniały mi się te dawne dzieje gdy w Trieux — w departamencie Meurthe-et-Moselle — poznałem górnika Jana Żabowskiego, który to właśnie w owych odległych czasach opuścił rodzinne sierpieckie strony i z żoną Franciszką udał się w świat na zarobek. Marzyło się wówczas panu Janowi, że szybko zaoszczędzi większą ilość „franków”, że wróci po kilku latach w rodzinne strony, zakupi kilka morgów ziemi i zacznie żyć po bożemu, tak jak człowiek który nie zasypia co wieczór z troską czy będzie miał jutro czym rodzinę nakarmić.

Trudne początki

I tak to pan Jan wraz z panią Franciszką osiedlili się w Bouligny, bo tam przywiozł ich agent i umieścił w kopalnianym baraku. Zaczął nasz rolnik pracować w kopalni rudy. Spoczątku szło mu ciężko. Bo to tak od razu, od pluga i brony przejsz do szlaperskiej roboty, od jasnego polskiego nieba do czarnych, kopalnianych stropów — sprawa nie łatwa. Ale przecież trzeba było żyć, a poto aby żyć, należało pracować i to pracować nie oszczędzając sił.

Miał pan Jan więcej szczęścia od innych. Trafił na przyzwoitego sztygara. Rębacz-Francuz z którym pracował, powoli wtajemniczał go w trudne arkana górniczej sztuki.

Po trzech latach pracy jako szlaperski-ladowacz został rębaczem. Mógł się już wówczas ze swymi przełożonymi po francusku dogadać. Przyszli na świat syn jeden i drugi. Pani Franciszka również zaczęła „parlować” i życie potoczyło się zwykłym trybem. Zwolna przywykali państwo Żabowscy do tej Lotaryngii, która przyjęła ich życzliwie i która z biegiem lat stała się ich drugą ojczyzną. Już nie myśleli o oszczędzaniu na kilka morgów sierpieckiej ziemi, dzieci chodziły do francuskiej szkoły, a przybywało ich coraz więcej.

Wrosli państwo Żabowscy w swoją kopalnianą osadę, ale o Polsce nie zapominali. Dzieci uczyli języka ojców i w domu pielęgnowali tradycje wyniesione z rodzinnej wioski.

Mijały lata. W 1941 roku podczas okupacji przeniesi się państwo Żabowscy do Trieux gdyż w Bouligny zaczęli się do nich dobierać okupanci. Rozpoczął pan Jan pracę w kopalni „Mine de Sancy” w której pracuje po dzień dzisiejszy.

Historia typowa

Tak oto ułożyło się życie państwa Żabowskich, którzy dziś są szczęśliwymi rodzicami sześciu synów i córki. Czy życie ich było usłane różami? Z pewnością nie, ale dzięki ciężkiej harówce i wielu latom oszczędzania nie tylko, że dzieci swoje wychowali na ludzi, ale osiągnęli nawet pewien dobrobyt. Za kilka tygodni pan Jan po raz pierwszy od trzydziestu lat pojedzie do Polski, odwiedzi swój rodzinny Sierpc, zagładnie do krewnych rozstanych po całym kraju i wróci do Trieux, do rodziny, do pracy. Tak oto w krótkim szkicu wygląda opowieść o polskiej rodzinie, która przed laty wyemigrowała za chlebem z krąju. Zdaje sobie sprawę, że opowieść przeze mnie skreślona jest bardzo typowa, że można ją „przykleić” do wielu polskich rodzin we Francji. Przyjął mnie pan Żabowski ze wzruszającą gościnnością. No bo przecież do Trieux nie często przybysz z Polski przyjeżdża. Odpowiedziałem mu na setki pytań, a przyznać muszę, że mój gospodarz dobrze się w polskich sprawach orientuje. Wyrobił on sobie o Polsce swój własny i to dość trzeźwy sąd. Najlepszym tego dowodem jest, że jedzie właśnie teraz do Polski — na „zwiad”, jak mi powiedział, aby w roku przyszłym mógł jego naj-

starszy syn, również Jan, zobaczyć kraj.

Po Janie-synie pojedą i inni. — Wszyscy moi synowie mają obywatelstwo francuskie, jeden z nich Józef służy w tej chwili w Algierze, ale uważam za swój ojcowski obowiązek namówienie każdego z nich, by zwiedził kraj z którego pochodzą rodzice.

Będę dzieci uczył po polsku...

— Mówią moi chłopcy po polsku i po polsku czytają. Nie łatwo było ich jednak uczyć, bo to przecież w czasie okupacji dorastali i słowo polskie nie raz karane było więzieniem czy ołczeniem. Sam ich uczyć nie mogłem, ja człowiek nie-uczony, niewiele „uczenia” z tej mojej wsi wywoziłem. Miałem sąsiadkę nauczycielkę i ona chłopców moich uczyła. Ta nauka mocno w ich głowach zapuściła korzenie, bo i dziś ją po tylu latach pamiętają. Z młodszymi dziećmi łatwiej już było. Wojna się skończyła, za naukę polskiego nikt już nie karał.

Wszystkie moje dzieci mają obywatelstwo francuskie i do szkół francuskich chodzą, ale swój język znają i o Polsce wiele wiedzą, może nawet więcej niż ja...

— A czy czują się Polakami?...

— Mon Dieu! — tu już pan Jan zamyslił się, trudno mu było na to pytanie odpowiedzieć.

Odpowiedział mi na nie raczej najstarszy syn, również jak i ojciec Jan, i jak i ojciec górnik.

— Tu urodziliśmy się, tu pracujemy, i rzecz jasna, że to tu właśnie jest nasza ojczyzna. Ale szanujemy kraj naszych rodziców, tak jak zresztą szanujemy nasz język, bo uważamy się za Francuzów polskiego pochodzenia. Ja moje dziecko też będę uczył po polsku...

Jan-ojciec i Jan-syn, jeden z paszportem polskim, a drugi francuskim, jednakowo skarżyli się na głód polskiego słowa drukowanego, na brak polskich książek.

Trioux jest niewielką górniczą osadą, ale żyje tu wielu Polaków, o których nie wolno zapominać, dobrze że choć od czasu do czasu

zagładnie do nas ktoś z konsulatu to zawsze coś nowego opowie.

Zalił się też pan Jan, że przez trzynastcie lat powojennych widział tylko dwa polskie filmy, które notabene sprowadziło dla polskich górników kierownictwo kopalni.

Jedyną prawdziwą polską rozrywką kulturalną rodziny Żabowskich jest pokaźna kolekcja płyt patefonowych z polskimi melodiami, przegrywana uroczystie przy każdej nadarzającej się okazji.

I tak ciągnęliśmy na różne tematy rozmowę. O troskach i radościach, o Francji i Polsce, o kopalniach, tu i tam w starej ojczyźnie.

Przeciągała się moja wizyta, mimo, że dawno już w osadzie pogasił światła.

— Niech pan powie w kraju, że my Polacy we Francji interesujemy się krajem i że bardzo prosimy, aby kraj o nas nie zapomniał, żeby nam przysyłał filmy, żeby więcej było tych książek i żeby docierały wszędzie...

Mieczysław DERBIEN

W paryskiej przychodni PCK

Jesteśmy w Przychodni PCK przy ulicy Crillon nr. 7.

Lekarze chorób wewnętrznych i specjaliści chorób płucnych, neurologii, ginekologii, dermatologii, chirurgi oraz dentyści przyjmują tu polskich i francuskich pacjentów.

Dużym utatwieniem dla leczących się, jak nas informuje p. Eugenia Świącicka, kierownik administracyjny i asystentka społeczna, jest pobieranie tylko 20 procent opłaty należnej; pozostałe 80 procent podejmuje Przychodnia bezpośrednio z Sécurité Sociale, nie wymagając (jak większość przychodni i szpitali), aby sumę tę wpłacił pacjent, a następnie sam domagał się jej zwrotu od Sécurité Sociale.

Przychodnia istnieje od roku 1932. Obecnie jest w stanie pomieścić trzech lekarzy przyjmujących jednocześnie oraz lekarza-dentystę. Na wyposażenie Przychodni składa się gabinet rentgenologiczny (radioskopia), gabinet diatermii (elektryzacja, naswietlanie promieniami ultrafioletowymi i podczerwonymi, elektrokoagulacja), gabinet dentystryczny (wraz z aparatem do radiografii). Istnieje także ambulatorium, w którym stale dyżuruje pielęgniarka. Udziela już ona pierwszej pomocy wielu robotnikom z zakładów mieszczących się w tej dzielnicy Paryża.

Dla Polaków Przychodnia jest atrakcyjna również i dlatego, że ze wszystkimi lekarzami można się rozmówić po polsku.



↑
Największy ruch panuje w gabinecie dra Mularskiego.

Zgłaszających się pacjentów przyjmuje najpierw p. Aniela Ziemba.



Barbara Gordon

GDY WRÓCISZ...

Jerzy Kowalski wraca po 17-tu latach z zagranicy. Wraca do żony, ale pod adresem podanym znajduje obcą kobietę, która wprawdzie nosi to samo nazwisko i imię, co jego małżonka — ale nie ma z nim nic wspólnego. Po dłuższych poszukiwaniach dowiaduje się, że żona jego Maryna wyszła powtórnie za mąż za Romana Stockiego i ma już dwoje dzieci. Jerzy odnajduje swego syna Tomka. Między Jerzym a Marią, do której Jerzy zajechał, nawiązał się romans. W międzyczasie zjawił się jej mąż zwany „Janem”, który cierpi na zanik pamięci a który wraca do Polski z żoną.

— Co trzeba? — zapytała kobieta Marię śpiwnym głosem.

— Czy to tu mieszka pan... — Maria zatrzymała się, mimowoli bowiem chciała powiedzieć „Kowalski” — ... pan Jan Ligęza?

— Tak, ale teraz męża nie ma w domu, poszedł do urzędu. Jeżeli pani chce coś zamówić, albo reperować, to proszę poczekać, niedługo wróci.

A więc to jest ta kobieta — Helena. Lena. Maria pomyślała: co byłoby, gdyby nie Jerzy. Byłaby dla niej wrogiem — teraz może być sojusznikiem. Ale jak przekonać się, czy Jan to istotnie poszukiwany przez nią człowiek?

Z kłopotu wybawiła ją Lena, zapraszając do pokoju.

— Tam chłodniej. Może pani napije się herbaty?

Pokój, noszący jeszcze ślady zniszczeń, umeblowano więcej niż skromnie: jakieś łóżko żelazne, używany stół, kulawe krzesła. Było jednak czysto, kretonowa firanczka na tasemce zasłaniała okno, a na ścianie obok małego, bardzo starego obrazka i spłowiałego kilimka wisiało kilka zdjęć w brzoźowych, ręcznie rzeźbionych ramkach.

— To bardzo stary kilimek — powiedziała Maria po to tylko, by nie milczeć.

— Po moim dziadku — wyjaśniła krótko Lena, zajęta nalewaniem herbaty do kubka.

Maria podeszła bliżej i nieznacznie zerknęła na zdjęcia. Były to powiększone odbitki amatorskich fotografii. Jedną z nich przedstawiała Lenę z fuzją i pięknym wilczurem na tle lasu. Inne zdjęcia pokazywały małą dziewczynkę przy boku starego człowieka o smutnych oczach i wielkich wąsach. Na trzecim wysoki mężczyzna o pochylonych ramionach stał oparty o drzwi drewnianej szopy i patrzył na Marię znajomymi, ciemnymi oczami.

Lena, nalewając herbatę, zastanowiła się przez chwilę:

— Po co tu przyszła ta kobieta? Kto to jest? Może niepotrzebnie prosiłam ją do domu?

Nie znała jeszcze tutejszych ludzi i obyczajów i bała się im uchybić. Widząc, że Maria obojętnie — tak się jej wydało — przygląda się fotografiom, wyjaśniła uprzejmie:

— Piękny pies, prawda? Nazywał się Druh, ale musiał tam zostać. Jakże go brać w taką drogę? My niedawno przyjechaliśmy — ze Związku Radzieckiego. Pewno tęskni. To ja z ojcem, umarł przed samą wojną. A to mąż.

Maria wolno odwróciła się od ściany i spojrzała na Lenę przeciągle i badawczo. Żal jej było tej kobiety, której za chwilę z pewnością zada ból. Dobrze się stało, że Jana nie ma. Teraz już Maria wie, że najpierw musi rozmówić się z Leną. Zawahała się chwilę, jakby szukając słów, potem powiedziała po prostu, głosem, pełnym życzliwego ciepła:

— Jestem jego żoną. Jego pierwszą żoną. On nie nazywa się Jan. Jego nazwisko jest Kowalski. Na imię ma Jerzy.

Lena przymknęła oczy i drgnęła, jak gdyby te słowa uderzyły ją fizycznie. Cofnęła się o krok niby do ucieczki i szepnęła głucho z opuszczoną ku ziemi głową:

— Wiedziałam... Wiedziałam, że tak będzie.

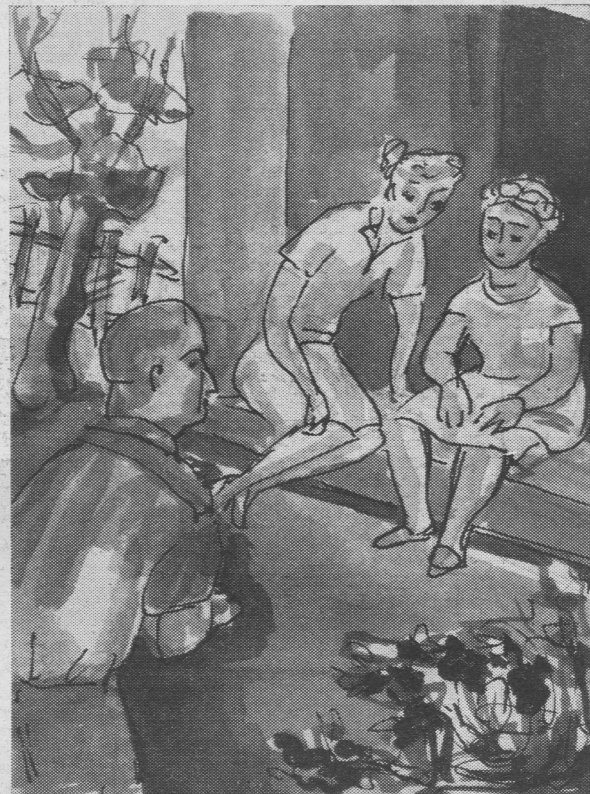
W tej chwili poczuła, jak jej zmartwiła postać obejmują łagodnie mocne ramiona. Nabrzmiały łzami głos rozległ się ledwo do słyszalnie tuż koło jej ucha:

— Chodź... usiądź tu. Porozmawiajmy spokojnie.

Maria wyprowadziła Lenę przed dom i obie usadowiły się na kamiennych schodkach małego ganku od strony ogrodu. Maria uczyniła tak nie tylko dlatego, że pociągał ją urok zdziczałych krzewów róż, obsypanych drobny białym i różowym kwiatem. Było w tym gęście również coś z zawstydy, jakim napawało ją wewnątrz pokoju, zamieszkałego przez jej męża i tę kobietę, żyjącą z

nim na prawach żony. I jeszcze jedno, do czego przyznawała się sama sobie nieśmiało: wolała nie czuć na sobie przenikliwych, czarnych oczu, patrzących na nią pytająco z fotografii, zupełnie jak gdyby wiedziały o wszystkim, co czyniła i mówiły, że takie to do niej niepodobne.

Było południe. Z otwartego gdzieś w sąsiedztwie okna głośnik radiowy wysyłał Hejnał Mariacki, mącąc ciszę pustych, starych uliczek. Ciężka, rozprężona pieczęć słońca legła na miasteczku. Miało się wrażenie, że to czyjaś rozpalona gorączką dłoń kładzie się na głowach, ściska za gardło, pozbawiając je oddechu, hamując wszelki ruch ludzi, zwierząt i roślin, sprowadzając na nie stan bezwładnego odrętwienia. Młda, duszna słodyczą napełniały nieruchome powietrze akacje i tylko z niedalekiego parku czy lasu przekornie i kusząco nawoływała kukułka: „szukaj, szukaj, szukaj...” Nie mówiła jednak, o jaką jej chodzi zgubę. Nad krzakami róż krążyły pszczoły, brzęcząc niby mikro-



skopijne samolociki, zbudowane ku uciesze krasnoludków.

Dwum kobietom mogłoby się zdawać — gdyby ich tak nie pochłaniały zwierzenia — że znajdują się w samym jądrze lata, niby na dnie wielkiej misy, pełnej po brzegi słońca jak złotego gęstego miodu, upału, ciszy, odurzających słodkich i gorzkawych woni. O nich samych, siedzących na schodkach ganku, przypadkowo przechodzących pomyślałby zapewne: oto dwie zaprzyjaźnione sąsiadki korzystają z chwili wolnej od pracy w gospodarstwie i gawędzą leniwie o swoich małych, domowych troskach i uciesach — przywarach mężów, własnych dolegliwościach, kłopotach z dziećmi, sklepowych trudnościach, i o tym, że całe miasteczko już wie, z kim kierownik tartaku zdradza swoją żonę.

Obie — tak różne urodą — miały w sobie jakiś rys wspólny — dojrzałość bujnego rozkwitu, pełnię wewnętrznej równowagi, podobieństwo do owego szczytu czerwowego południa, które je otaczało. W przyrodzie taka godzina to pora największej szczerości i otwartości bez zastrzeżeń, wszystko jest jasne i widoczne: barwy są nasycone, cienie krótkie, kontury rzeczy ostre — nawet kształt liścia określony ostatecznie, i bez niedomówień rozrósł się do właściwych rozmiarów i potem będzie już tylko kureczyć się i więdnąć.

Kobiety powiedziały sobie wszystko i teraz trwały w milczeniu. Każda z nich na swój sposób czekała niecierpliwie i zarazem z pewnym lękiem na przyście mężczyzny, który wciąż nie nadchodził.

— On, tylko on sam, musi zdecydować

— powiedziała Lena, Maria zaś temu nie przeczyła.

Dlaczego jemu pozostawiły decyzję, trudno właściwie powiedzieć, skoro same widziały rozwiązanie. Gdyby ktoś je o to pytał, odpowiedziałyby prawdopodobnie, iż za wszystko, co przeżył, należy mu się takie życie, w którym przekonany będzie, iż ono właśnie przyniesie mu szczęście. „Kobiety lubią się poświęcać” — powiedział kiedyś żartem Jerzy, kiedy Maria zrezygnowała z jakiegoś swojego życzenia na rzecz jego propozycji. Maria myślała trochę inaczej: kobiety tak często poświęcają się z musu, iż bez wstawiania nawet sobie samej, że sprawia to satysfakcję, życie byłoby bardzo niezdolne.

Lena myślała co robi, jeżeli Jan, bo wciąż jeszcze nazywała go tym imieniem — odejdzie od niej i pójdzie za tamtą kobietą. „Co zrobi” — nie z sobą, bo życie nauczyło ją radzić sobie w każdym wypadku, lecz ze swoją miłością. Przypomniała sobie jego dziwny niepokój od chwili przybycia do Warszawy. Zapadał często w głębokie zamyślenie, krążył bez celu po pokoju, po nocach szeptał do siebie niezrozumiałe słowa. Czy wracał w tych zadumach i snach do siebie — siebie sprzed wojny, do swego domu i swojej prawdziwej żony?

Gdzieś daleko, za widnokrepiem rozległ się głuchy pomruk grzmotu.

— Będzie burza... — szepnęła Maria.

Skrzypnęła furka i ciężkie, zmęczone kroki zabrzmiły donośnie na flizach kamiennego chodnika.

4.

Jan wracał bardzo znużony. Kilka godzin spędził w różnych urzędach, usiłując załatwić swoje sprawy. Obiecano mu pożyczkę na zorganizowanie warsztatu ślusarskiego, którego wyposażenie na razie było trochę podobne do kompletu pod nazwą „Mały ślusarz” jaki otrzymują w prezencie na imieniny kilkunastoletni chłopcy. Okazało się, iż od zapowiedzi do wypłaty pożyczki droga jest bardzo żmudna, Jan szedł więc do domu tymczasem z niczym. Ze zmęczenia i od upału mąciło mu się w głowie.

Dlatego też obraz, który ukazał się jego oczom, kiedy skręcił za węgiel domu i stanął przed ganezkiem, uznał w pierwszej chwili za majaczenie utrudzonej wyobraźni. Zrozumiał jednak niebawem, gdy obie kobiety obróciły w jego stronę głowy — jedna jasną, druga ciemniejszą nieco, popielatą z odcieniem brązu, przeświecającą złością pod słońce, że to nie przywidzenie.

Pomyślał ze smutkiem, że oto jakoś nie do naprawienia zwichnęło się jego życie. To życie najpierw umknęło przed nim w mrok niepamięci, odeszło od niego, czy też opuściło zdradziecko, pozostawiając go gdzieś na drodze, jak zwalony pień, który zsunął się z wozu. Od powrotu do tego życia chciał się uchylić, chciał uciec, lecz ono samo upomniało się o niego teraz, odnalazło go i dopadło w tej węgętującej mieszcinie. Wraz z pamięcią wróciła przeszłość i domagała się, by nawiązał do niej w swoim dzisiejszym dniu.

Nie po raz pierwszy i nie w tej chwili dopiero uprzytomnił sobie swoją sytuację. Wiele już myślał o tych sprawach — aż do bólu, rozsadzającego czaszkę w ciągu dni, które minęły od kiedy zaczęła mu wracać pamięć. Było to równie męczące, jak ów czas, gdy największy wysiłek mózgu nie mógł dać mu odpowiedzi na najprostsze pytanie: kim jest i skąd się wziął w tajdze.

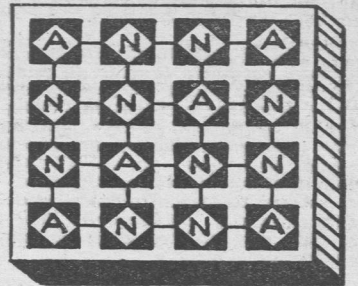
Już na stacji granicznej nazwy: Terespol, Breść, zaczęły mu coś mówić — o jakichś dalekich lecz bliskich stronach i dalekich, nieliskich już latach. Zdawało mu się, że stoi na brzegu morza i płyną ku niemu okręty — są jeszcze małymi kropczkami na linii horyzontu i zaledwie rozpoznaje, że są to istotnie okręty o znanych kształtach i nazwach. Gdy zbliżą się, czy odnajdzie na pokładzie znajome twarze? Z trudem próbował usuwać grzy, jakimi przywołane zostały w jego pamięci poszczególne pojęcia, nazwy miejscowości i zdarzenia.

Wydawnictwo Literackie

ROZRYWKI
UMYSŁOWE

ILE RAZY?

Ile razy można odczytać wyraz „ANNA” w podanej figurze, rozpoczynając od dowolnej litery A i posuwając się tylko po wskaza-



nych liniach prostych i nie przeskakując żadnej z liter?

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną NAGRODY książkowe.

Czesławowi i Kazimierzowi z Konarskich Sobkowiakom, zamieszkałym w Calonne-Ricouart (P. de C.) z okazji zawarcia związku małżeńskiego w dniu 12 lipca 1958 r. najserdeczniejsze życzenia składa rodzina Trelów.

Edward STRZELECKI

KĄCIK FILATELISTY

SZCZYT SPEKULACJI

W tej chwili w Polsce sezon filatelistyczny zamari. W najbliższym czasie nie spodziewane są żadne nowe wydania. Filateliści mogą śmiało udać się na wakacje!

Dlatego zajmiemy się ciekawszymi wydarzeniami, które niedawno wydarzyły się na świecie. Najbardziej sensacyjna wiadomość nadeszła z Republiki Dominicy. W dwa lata po olimpiadzie w Melbourne wydano tam jeszcze jedną serię olimpijską! Jest to już bodaj szósta seria olimpijska wydrukowana w tej małej republice w związku z ostatnimi igrzyskami. W początkach roku 1958 republika wypuściła serię olimpijską złożoną ze znaczków formatu trójkątnego. Po pewnym czasie zorientowano się, że cały nakład nie został wyprzedany. Aby go upłynnić pozostałe znaczki opatrzone nadrukiem „+ 2 c”. Jest to dopłata na cele dobroczynne dla uchodźców palestyńskich. Prócz nadruku „+ 2 c” znaczki zostały jeszcze zaopatrzone w nadruk słowa „Refugiados” oraz gwiazdę Dawida, względnie czerwony półksiężyc. W ten sposób na każdym z arkuszy 50

znaczków jest z gwiazdą i tyleż z półksiężycem.

W ten sposób zmuszono filatelistów do zakupienia aż dwu różnych serii. Ogółem przedrukowano 25.000 serii. Na tym jednak nie koniec. Nadruki umieszczono na 5.000 blokach ząbkowanych i na 5.000 nieząbkowanych.



W ten sposób poczta w republice wykorzystala ostatnią modę filatelistów polegającą na zbieraniu znaczków olimpijskich.

Zbliża się olimpiada 1960 roku. Nie ulega wątpliwości, że z tej okazji skorzysta znów minister poczty w Dominicy, aby stuknąć po kieszeniach filatelistów.

Podajemy dziś fotografię jednego ze znaczków olimpijskich Dominicy z serii, która ostatnio została opatrzona nadrukami.

K. GR.

POLSKI FUNDUSZ
OLIMPIJSKI

Sportowcy w dogodnym punkcie znaleźli miejsce spotkań, życia towarzyskiego i zebrań organizacyjnych. Sala klubowa PKOl. jest zawsze pełna, w hallu przy kawce lub herbacie spotkać można zawsze kogoś interesującego.

Nieco obszerniej napisałem o lo-

tej instytucji działacze i trenerzy potrafiliby udowodnić, że z jednej strony umieją pokierować przygotowaniem sportowców do Igrzysk Olimpijskich, a z drugiej, że nie pozbawieni są talentu mobilizowania gotówki na potrzeby sportu.

Prace poszczególnych związków

sporo Polaków związanych uczuciowo ze sportem w kraju, którzy chętnie będą współdziałać w wysiłaniu naszych sportowców na Igrzyska Olimpijskie.

W ten sposób powstała idea Polskiego Funduszu Olimpijskiego, a w ślad za nią praktyczne działania. Powołany został Komitet Honorowy Funduszu z Tadeuszem Kucharem i Witoldem Gierutem na czele. Do Komitetu weszli między innymi gen. dr Jerzy Gilewicz — przewodzący dyrektor CIWF, inż. Alfred Loth — zastępca działacz PKOl., płk Karol Römmel — słynny jeździec, olimpijczyk, Jadwiga Wajsówna — zdobywczyni srebrnego medalu olimpijskiego, Halina Konopacka-Matuszewska — rekordzistka świata i złota medalistka olimpijska, Stanisława Walasiewicz-Olson — rekordzistka świata i złota medalistka olimpijska.

W świat poszły też broszurki z opisem Odznak Polskiego Funduszu Olimpijskiego (złota — 5 dolarów, srebrna — 3 dolary i brązowa — 1 dolar), medalu pamiątkowego PKOl. z porcelany (15 dolarów) i pięknego albumu olimpijskiego w białoczerwonych barwach (5 dolarów).

Reakcja Polonii zagranicznej była natychmiastowa. Do PKOl. nadszły zaczęły pierwsze listy i pierwsze wpłaty.

Smiałe plany PKOl. zyskują z każdym dniem większą realność i można przypuszczać, że im bardziej sprawa będzie znana w polskich środowiskach za granicą, z tym większym spotka się poparciem.

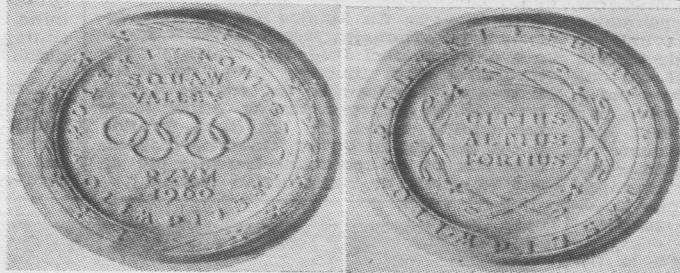


Odznaka Polskiego Funduszu Olimpijskiego.

NA małej uliczce Frascati w Warszawie, mieści się lokal Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Popularna ta instytucja przez dłuższy czas po wojnie nie miała własnej siedziby. W stolicy naszej nie łatwo jest do dziś zdobyć kilka pokoi do dyspozycji.

Działaczom PKOl. nie zabrakło inicjatywy także na tym polu. Zamiast biernie oczekiwać na przydział lokalu, uzyskali pozwolenie na dobudowanie trzeciego piętra na jednym z przyzwolonych domków z tarasem. Pomysł okazał się szczęśliwy. Według potrzeb i zgodnie z życzeniami uzyskano lokal przestronny, estetyczny, o jakim niedługo instytucja może tylko marzyć.

Uliczka Frascati, leżąca w centrum miasta, 100 metrów od Sejmu, doskonale została wybrana.



Medal pamiątkowy z porcelany.

kalu PKOl., ponieważ jego zdobycie i wykorzystanie dobrze charakteryzuje energię i zaradność gospodarzy.

W polskim ruchu sportowym — PKOl. w krótkim czasie zdobył sobie duży autorytet. Skupieni wokół

sportowych dotowane są przez PKOl. zależnie od postępów. Jakże wykazuje dana dyscyplina sportu. Równoległe idzie pomoc fachowa — konsultacja planów szkoleniowych, dostarczanie najlepszego sprzętu itd. PKOl. prowadzi też kilka ośrodków szkoleniowych, w których organizuje się krótkie zgrupowania zawodników dla sprawdzenia ich rozwoju i udzielania dalszych wskazówek.

Jeden z ośrodków mieści się w Spale, w dawnej rezydencji prezydenta Mościckiego, z której ocalały zresztą tylko niektóre budynki. Na dawnym hipodromie, w pięknym lesie, urządzono boiska z bieżnią, skoczniami i rzutniami. Opodal płynąca Pilica w letnie dni przynosi ochłodę i pozwala sportowcom odświeżyć się. Idealne miejsce, aby w ciszy lasów popracować nad podniesieniem formy.

Na swoją działalność Polski Komitet Olimpijski potrzebuje oczywiście sporo funduszy także w dewizach, bowiem organizowane od czasu do czasu przez tę instytucję wyjazdy naszych sportowców zagranicę, a także zapraszanie gości z innych krajów — kosztują.

Jednak mamy wszyscy ambicję, aby w tej dziedzinie jak najmniej brać od państwa. Pieniądze państwowe powinny iść na potrzeby szerszych obywateli, których sportowe apetyty wyraźnie rosną. Urzędnicy i trenerzy potrzebują przede wszystkim młodzież szkolną i studencką — dla niej, a także i dla panów z brzuszkami i pań chętnych o linię trzeba jeszcze wiele zrobić w dziedzinie kultury fizycznej.

PKOl. zaś organizuje sobie fundusze z ofiarności publicznej: z dopłat do biletów na zawody sportowe i z organizacji wycieczek na mecze w kraju i zagranicą.

Ostatnio doszła do tego nowa inicjatywa podjęta nie bez udziału naszych rodaków z zagranicy. Kiedy w rozmowach przy okazji wizyt polskich sportowców w różnych krajach uskarżaliśmy się na trudności wysyłania licznych ekip olimpijskich, padły często pytania: Dlaczego nie skorzystacie z naszej pomocy? Na emigracji jest

Uwaga!

POSIADACZE APARATÓW
FOTOGRAFICZNYCH

Redakcja „Tygodnika Polskiego” ogłasza

WIELKI KONKURS
NA FOTOGRAFIĘ
AMATORSKĄ

Fotografie, o dowolnej tematyce, należy nadsyłać do „Tygodnika Polskiego”, 23, rue Taitbout, Paris (9), wraz z kuponem konkursowym zamieszczonym poniżej.

Każdy kupon upoważnia do nadania jednego zdjęcia. Fotografie nie mogą być mniejszego formatu niż 9 x 12 cm. Każde zdjęcie należy na odwrocie podpisać nazwiskiem i imieniem autora oraz podać adres.

Zdjęcia konkursowe nadające się do reprodukcji będą publikowane w „Tygodniku Polskim”.

Najlepsze zdjęcia zostaną nagrodzone.

- I nagroda wart. 10.000 fr.
- II nagroda wart. 7.000 fr.
- III nagroda wart. 5.000 fr.
- IV nagroda wart. 2.500 fr.
- V nagroda wart. 1.500 fr.

Termin nadsyłania zdjęć upływa 15 września.

KUPON W KONKURSIE
NA FOTOGRAFIĘ AMATORSKĄ

Imię i nazwisko

Adres

Zawód

NOWE PRZYGODY KAJTKA

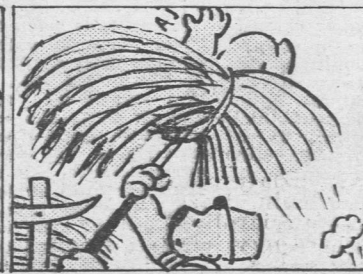
KAJTEK NA WAKACJACH



Kajtek dziś z samego rana zbiera pilnie kopy siana.



Dzień upalny, słońce praży, pot Kajtkowi spływa z twarzy.



Chwilę spoczął i przystanął. — Jakże ciężkie jest to siano!



„Co to? Czy mnie mylą czy? Skąd tu nagle Mops wyskoczył?!”

D. DOWOJNA-BIENAIME

Tłumaczka przysięgła przy wyższych Sądach w Paryżu. Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji. 23, quai de la Tournele, Paris (5). Metro: Pont-Marie. Telefon: ODEon 41-17.

POTRZEBNA pracownica (od lat 15) całkowite utrzymanie, rano do pomocy w pracy domowej, po południu jako uczennica w krawiectwie. Zgł. do „Tygodnika Polskiego” pod Nr. 27.

LA PAGE FRANÇAISE

22 JUILLET
FÊTE NATIONALE

Le 22 juillet 1944, le Comité polonais de Libération nationale lançait au peuple un manifeste dans lequel il revendiquait pour nouvelle frontière occidentale l'Odra et la Nysa, et annonçait l'expropriation des grands domaines fonciers en faveur des paysans, ainsi que la socialisation des usines, des mines et des banques. Cette date, anniversaire de la naissance de la Pologne nouvelle, est devenue fête nationale. Elle est célébrée cette année pour la quatorzième fois.

Pour une nation de vingt-huit millions d'âmes, quatorze années de pouvoir populaire ont valu toute une époque, dont la fête nationale donne une occasion de dresser le bilan. Comme tout bilan, il est encombré de chiffres, qui matérialisent les progrès de l'édification de l'économie nouvelle: indices (en hausse constante) de la production d'acier, de houille, de pétrole, d'acide sulfurique, de ciment... Mais les chiffres ne sont rien sans la réalité humaine qu'ils recouvrent. Cette période a été riche d'expériences de toute sorte — y compris les erreurs, les difficultés politiques, les tâtonnements. La recherche de la voie la meilleure ne s'est pas faite sans à-coups; elle a connu un tournant décisif lors des événements d'Octobre 1956.

Jetant un regard en arrière, les Polonais se rappelleront sans doute ce que leur disait déjà, en cette année 1944, M. Władysław Gomułka:

« A la différence de la démocratie de type d'avant-guerre, la Pologne démocratique que nous construisons ne se borne pas à reconnaître aux masses populaires des droits civiques purement formels; elle créera les conditions économiques qui garantiront aux ouvriers, aux paysans et aux intellectuels la possibilité de jouir effectivement des droits démocratiques, et à la nation tout entière la possibilité de se relever des effroyables dévastations qu'elle a subies... »

Le professeur Kotarbinski:

„Les intellectuels du monde entier doivent collaborer”

Au cours de la rencontre internationale des intellectuels de l'Est et de l'Ouest, qui s'est tenue à Bruxelles sous les auspices de l'UNESCO, le professeur Tadeusz Kotarbinski, président de l'Académie polonaise des Sciences, a souligné l'importance de la rationalisation de la pensée. « La science et la technique », a-t-il déclaré,

◆ Environ 3.500 jeunes gens ont terminé cette année leurs études en médecine, tandis que les Facultés s'apprentent à admettre 3.600 étudiants de première année.

Pour équiper la Marine Marchande
les chantiers navals s'engagent
à construire des unités nouvelles

Les Journées de la Mer récemment célébrées sur tout le littoral polonais ont incité le journal *Horyzonty Techniki* à dresser, sous la plume de M. Marian Krynicki, un bilan critique des insuffisances dans la réalisation du plan sexennal (1950-1955) en ce qui concerne le développement de la marine marchande.

« Sur 123 unités prévues d'une portée en lourd de 623.000 tonneaux », écrit M. Krynicki « la marine marchande polonaise ne comptait fin 1955 que 69 navires de haute mer d'un tonnage global de 257.146 tonneaux. L'accroissement effectif du tonnage au cours de cette année 1955 a été à peine d'environ 24 % du chiffre prévu par le plan et le tonnage atteint n'était que de 41 % du chiffre total prévu. Encore ce tonnage insuffisant était-il en partie suranné et mal adapté aux besoins. Sa capacité de transport ne dépassait pas beaucoup les 10 % de la masse des marchandises passant par les ports. »

Pour l'avenir, il est prévu qu'à la fin de la période 1956-1960 la participation de la flotte marchande polonaise au transport des marchandises transbordées dans les ports polonais devra atteindre 24,5 %. L'augmentation du tonnage est demandée principalement à la production nationale, que devra fournir 54 unités d'un tonnage global de 300.000 tonneaux. En outre, un fonds spécial permettra d'acheter à l'étranger des navires d'une portée en lourd d'au moins 120.000 tonneaux.

En 1956, première année de ce nouveau plan, l'accroissement n'a été que de 18.715 tonneaux. Mais en 1957, le tonnage a augmenté de 83.400 tonneaux. Cet accroissement est d'autant plus précieux qu'il implique un important rajeunissement de l'âge moyen de la flotte. Le nombre des unités modernes est passé de 2 à 34 %.

Les devises du fonds spécial ont déjà servi à l'achat d'un pétrolier et deux autres ont été commandés aux chantiers yougoslaves. Des négociations avec d'autres pays étrangers ont dû être interrompues en raison du manque de devises. Cette situation a incité les autorités responsables à constater que les possibilités

« deviennent le bien commun des diverses civilisations. La rationalisation libère les intellectuels de toute espèce de préjugé, leur ouvrant une perspective commune sur des valeurs telles que la tolérance, la droiture, la hardiesse et la maîtrise de soi, valeurs qui n'exigent point d'être motivées à l'aide d'axiomes douteux ou métaphysiques. »

Le professeur Kotarbinski a demandé que les intellectuels du monde entier collaborent étroitement pour le bien et le progrès de l'humanité.

de production de l'industrie nationale n'ont pas été suffisamment exploitées. Le magnifique développement des chantiers navals compte parmi les plus belles réalisations économiques de la Pologne d'après-guerre. Il a donc été décidé qu'au lieu d'acheter à l'étranger des unités complètement finies, la Pologne n'achètera plus que des machines et l'équipement pour les coques qui seront construites dans le pays. En application de cette décision, les chantiers navals se sont engagés à livrer d'ici 1960, des unités supplémentaires d'un tonnage global de 68 000 tonneaux. La Pologne est résolue à disposer, d'ici quelques années, d'une flotte marchande digne de ses trois grands ports sur la Baltique: Gdansk, Gdynia, Szczecin, et du potentiel considérable de son industrie de construction navale.

45 MINEURS BLOQUES
PAR LE FEU SONT SAUVES
GRACE AU COURAGE
D'UN CAMARADE

Il y a quelques jours un violent incendie se développait dans la charpente du puits de mine *Myslowice*. Quarante-cinq mineurs se trouvèrent soudainement coupés du reste des travailleurs, un rideau de fumée âcre et aveuglante les empêchant de trouver leur chemin pour échapper à la catastrophe.

Sans attendre l'arrivée des sauveteurs, un mineur qui se trouvait à proximité du secteur sinistré, Antoni Polok, réussit à se frayer un chemin à travers la fumée et les gaz de l'incendie, et ramena ses camarades vers la partie intacte de la mine. Sans cet acte de sang-froid et de courage, on aurait probablement eu à déplorer des victimes.

Cinq équipes de secours, arrivées sur les lieux, réussirent à maîtriser le fleau après deux heures d'efforts, en déroulant une conduite d'eau jusqu'au foyer principal de l'incendie. L'enquête n'a pas encore déterminé la cause du sinistre.



Une belle journée à Varsovie. Les visiteurs, venus de province, n'oublient jamais le monument Mickiewicz situé à Krakowskie Przedmieście.

CONNAISSEZ-VOUS LA POLOGNE ?

Un pays économiquement arriéré
se transforme en État industriel

Entre les deux guerres mondiales, la Pologne est restée un pays économiquement arriéré. Plus de 72% de la population habitait la campagne, et environ 60 % vivait du travail dans l'agriculture. L'industrie, faible sauf dans quelques secteurs comme le textile, dépendait en grande partie de capitaux étrangers. Leur participation totale s'élevait à 40,1 %, mais ce pourcentage était bien supérieur dans certaines branches: 87,5 % dans l'exploitation des gisements de pétrole; 81,3 % dans les centrales électriques et adductions d'eau; 66,1 % dans les industries électrotechniques; 59,9 % dans l'industrie chimique; 59,1 % dans les assurances. L'ensemble de la participation étrangère montait à 1.294.000.000 de zlotys.

Encore ces chiffres ne concernent-ils que les capitaux étrangers investis dans les sociétés anonymes ayant leur siège en Pologne. Il faudrait y ajouter 44 sociétés anonymes ayant leur siège social à l'étranger et exerçant leur activité en Pologne.

La physiologie générale de l'économie polonaise était pour une bonne part celle d'un pays exportateur de matières premières et de denrées agricoles vendues souvent à des prix de dumping. Une

bonne part des produits manufacturés devait être importée; sur ceux qui étaient fabriqués en Pologne, près de la moitié des bénéfices était absorbée par la rémunération du capital étranger. Le reste allait à des groupes capitalistes, à des cartels industriels que les gouvernements de l'époque soutenaient au moyens de primes, de tarifs préférentiels, de crédits, etc.

La transformation
de l'économie

La deuxième guerre mondiale et les changements sociaux et géographiques qui l'ont suivie ont modifié les conditions de base de l'économie polonaise. Les destructions entraînées par les opérations militaires se sont traduites par une réduction du patrimoine national d'environ 38 %. L'agriculture a été sévèrement touchée par la dévastation des propriétés paysannes et l'extermination presque totale du cheptel par les troupes en retraite. Mais, d'autre part, le déplacement des frontières a entraîné des changements dans l'effectif de la population rurale et la superficie des terres arables; la Pologne a récupéré les régions en grande partie industria-

lisées, situées à l'ouest de la Warta, et qui s'étendent jusqu'à l'Odra et la Nysa.

Le 3 janvier 1946, le Conseil National a voté une loi attribuant à l'État polonais la pleine propriété des branches essentielles de l'économie, notamment les gisements minéraux, les forêts, les mines, les routes, les eaux, les transports, les banques, les grandes entreprises industrielles, le commerce extérieur. Pour le commerce intérieur, à côté du réseau socialisé de circulation des marchandises, existe un commerce privé, d'ailleurs en développement.

En 1937, la part de la production industrielle dans la valeur globale de la production était de 51,8 %. En 1955, elle était de 77,2 %. En 1955, la part de la population vivant de l'agriculture n'était plus que de 45 %. Ces chiffres, qui ne doivent pas faire oublier les nombreuses insuffisances que doit encore surmonter l'économie polonaise, ont cependant le mérite de souligner une modification essentielle: de pays à forte prédominance agricole, la Pologne est devenue un État à la fois agricole et industriel. Ce changement se reflète, ainsi que nous le verrons, dans les caractéristiques du commerce extérieur.

(à suivre)

« TYGODNIK POLSKI »

„LA SEMAINE POLONAISE”

23, rue Taitbout,
PARIS (9^e)Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92 20 - 76 Paris

Cena prenumeraty:

kwartalna: 400 franków,
półroczna: 700 franków,

w Belgii:

kwartalna: 55 fr. belg.,
półroczna: 100 fr. belg.

Oddział Redakcji w Liège:

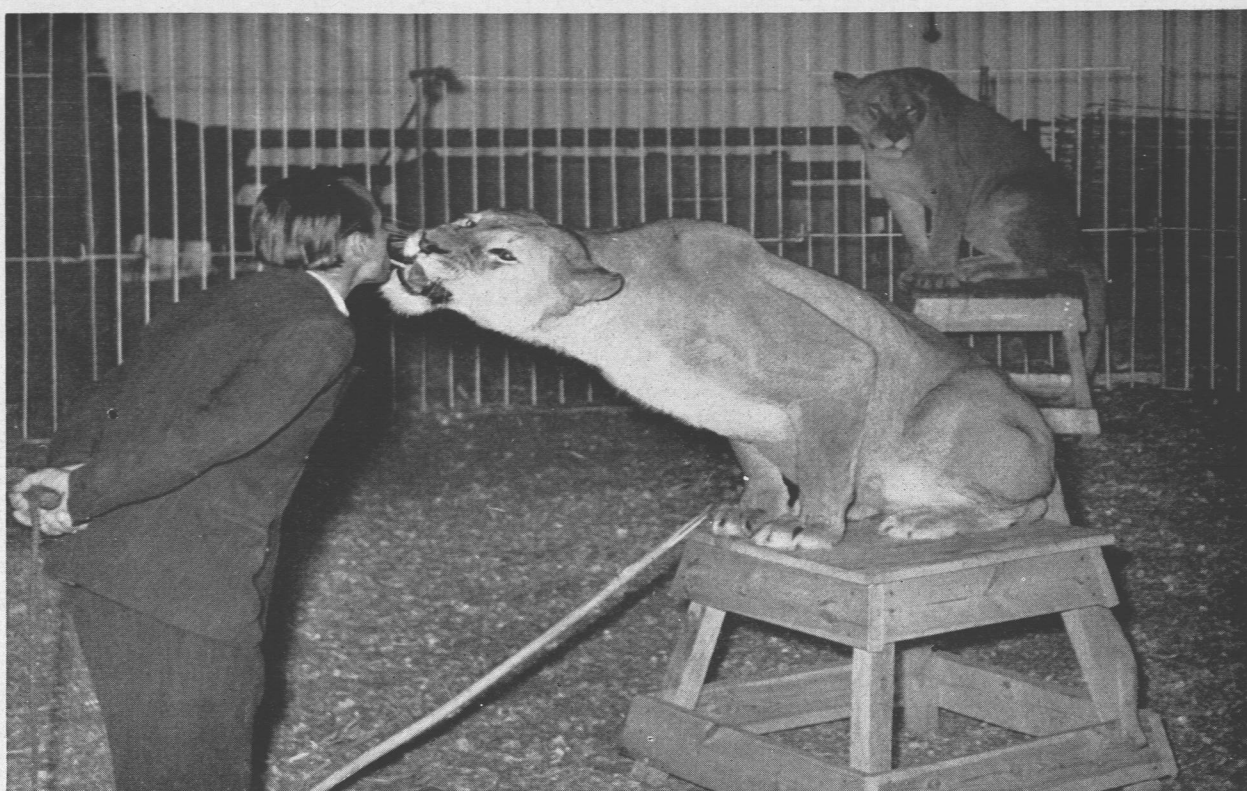
Cheratte, 10, rue Entre les Maisons.
Konto pocztowe 579-441 Liège

Le Gérant: M. Banaszekiewicz.

IMPRIMERIE J.E.P.,
7, rue Cadet, Paris (9^e).



Groźny jest uśmiech lwa.



Pocałunek przyjaciół.

AFRYKANSKIE przysłowie mówi, że najodważniejszy człowiek trzy razy boi się lwa: gdy po raz pierwszy zobaczy jego trop, gdy usłyszy jego ryk i gdy stanie z nim oko w oko. Oczywiście niecelne spojrzenie mu w oko grozi śmiercią lub kalectwem.

Ale my go bierzemy sposobem, panowie! Jest ich kilka, a najprostszy pozwala każdej gospodyni domowej, a nawet dziecku zapolować na lwy! Wystarczy w tym celu przesiąść przez sito kawałek afrykańskiej pustyni. Piasek oczywiście odejdzie, a lwy zostaną na sitku! Więc wtedy przekładamy je ostrożnie do klatek i wysyłamy w świat. Jeśli mają być dla Zoo — sprawa jest prosta. Nim zawędrują do cyrku, muszą się jeszcze szkolić w kierunku artystycznym. W Polsce, „uczelnia” tego typu pod nazwą Baza Cyrkowa znajduje się w Julinku pod Warszawą.

Rzecz jasna nie każdy lew nadaje się na artystę, ale też i nie każdy cyrkowy artysta nadaje się do pracy z lwami. Jed-

no jest pewne. Na lwy można zachorować i nam się to przydarzyło. Poznański cyrk „Arena” był dotąd bez lwów. Czyż fakt ten mogliśmy nadal tolerować? Po sto-kroć — nie!

Wszak już starożytni Rzymianie i Gre-

Zagranicznego Zwierzętami „Animex”. Kupiliśmy od Związku Radzieckiego sześć młodych wytresowanych lwic za... 1.000 żywych zajęcy. Okazuje się, że zajęcy to też dewizy, i dosyć mocne, skoro do tych lwów dostaliśmy jeszcze na „dokładkę”

dopiero przywieźć do nas dawnego ich pana i władcę, aby zrobił z nimi „porządek”. Dzięki tym właśnie kłopotom z lwami gościliśmy przez dwa tygodnie w Julinku pod Warszawą radzieckiego tresera lwów Aleksandra Kapitanowa. Nie był on w Polsce po raz pierwszy. Trzydzieści lat temu walczył nad naszym krajem jako radziecki lotnik a przy zdobywaniu Warszawy był nawet ranny. Dziś przyjechał poskromić lwy i przekazać klucz do ich tresury.

Zaczęły się codzienne, parogodzinne ćwiczenia i już wkrótce lwice chodziły znów po trapecie, skakały przez obręcz i ustawiały się w efektowną grupę. Dziś „pracują” pod kierunkiem Tadeusza Maciejewskiego, dawnego tresera koni, który zdążył już swoje lwice polubić.

Rita, Toma, Mira, Łija, Pahida i Nona ucą się teraz szybko języka polskiego i są w przededniu występów. Życzymy powodzenia i dużych braw!

Krystyna SOLECKA

TO NIE ŻARTY TO LWY

cy mieli swoje lwy. A za Pompejusza występowało w cyrku aż 600 sztuk na raz.

Ostatecznie zwyciężyły więc argumenty że cyrk bez lwów nie jest cyrkiem, a lwy, to są zawsze lwy! Z tej to przyczyny doszło do osobliwej transakcji pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim, w której pośredniczyła nasza Centrala Handlu

4 wielbłądy i lamę. Ale rychło okazało się że to był dopiero początek zmartwień, bo nie wystarczy mieć lwy, cyrkowy bat i zakratowaną arenę. Trzeba jeszcze posiadać rząd dusz nad tymi bestiami. Tymczasem lwy przyjechały a władza nad nimi została zagranicą. Na polskiej arenie dosłownie „zastrajkowały”. I trzeba było

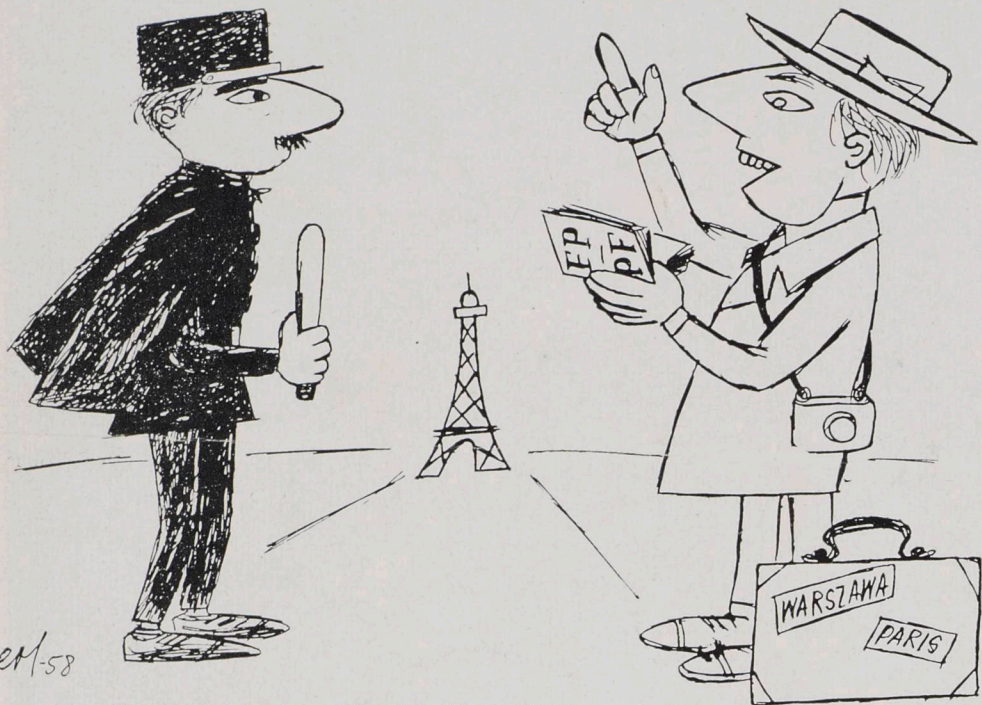


Ćwiczenie na przyrządach.



Skok przez koło.

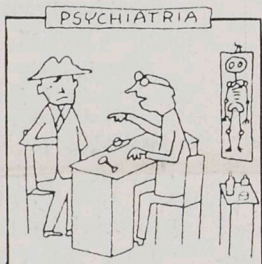
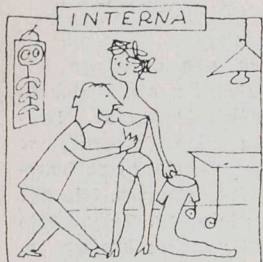
HUMOR



RODAK W PARYżu:
— Parlez-vous français?

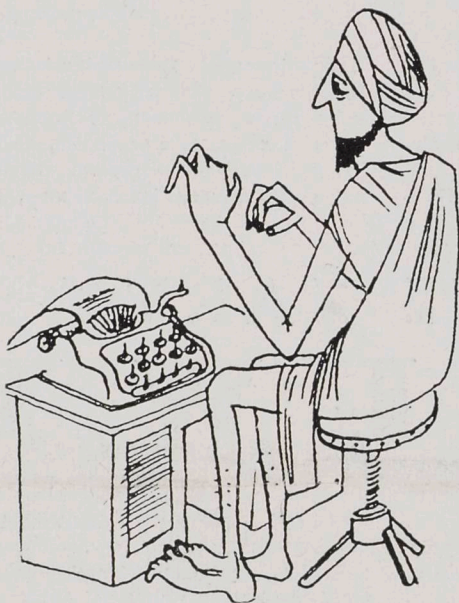


„Punch“ — Londyn

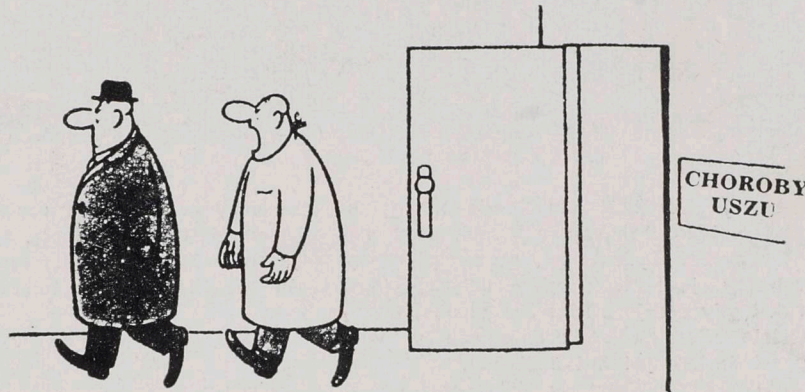


— Moim zdaniem nic pani nie brakuje. Zaraz zobaczymy co powie doktor, na którego ja też czekam...

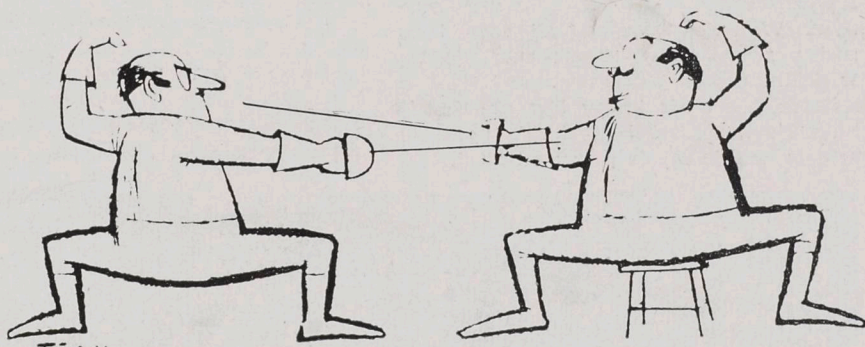
— A honorarium za wizytę zapłaci pan we frankach czy w złotych?...



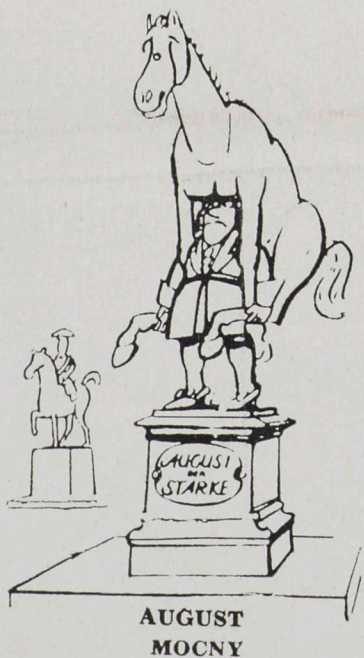
rys Janusz Bruchnalski



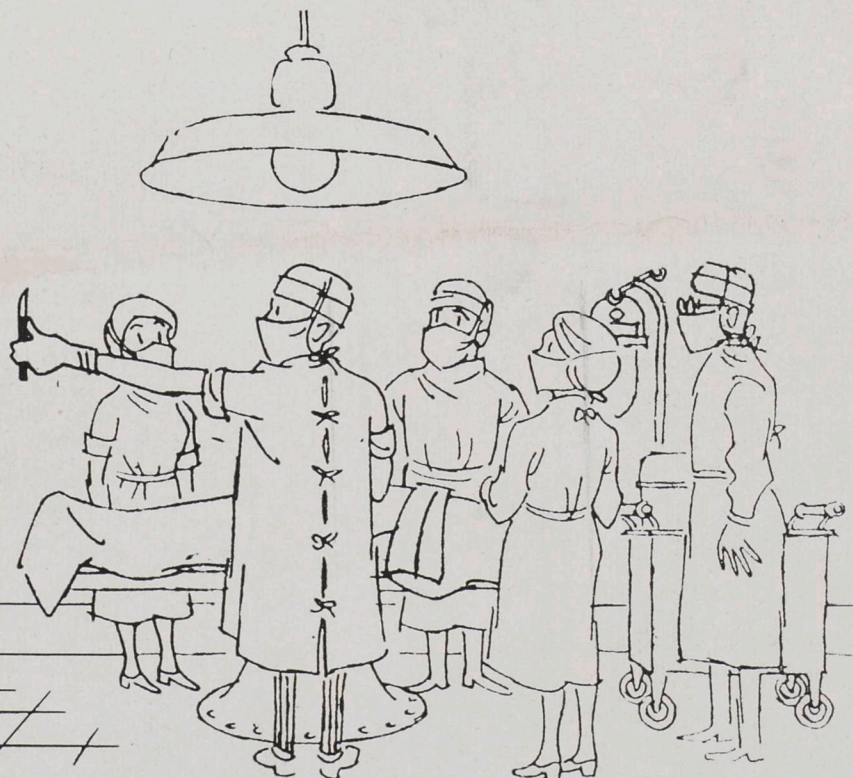
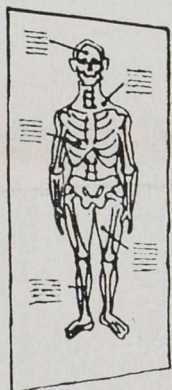
„Neue Illustrierte“ — Kolonia
— Powtarzam, należy się 10 marek!



„Punch“ — Londyn



„Neue Illustrierte“ — Kolonia



„Punch“ — Londyn